Egzemplarz obowiązkowy

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 4.VII.1971 Nr 14 (473) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

W numerze m. in.:

Ireneusz J. Kamiński
Z drewna powstały w proch się obrócą

Precz ze sloganem!

Jerzy Dostatni

NIE mogę powiedzieć, abym po pierwszym dniu był usatysfakcjonowany. Zaproszenia musiano rozsyłać dwa razy, bo w pierwszym znalazło się kilka błędów. Zapowiadano dziewięć referatów, w materiałach wręczono pięć. Z 15 członków Rady Naukowo-Programowej na sali dopatrzyłem się tylko 10. Przy wejściu wręczono mi tzw. materiały towarzyszące w postaci skromnej informacji turystycznej o Zamościu, do którego czas nikomu i tak nie pozwalał pojechać, oraz folder „Co, gdzie, kiedy w Lublinie". Był to chyba jakiś akt rozpaczy Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej w upłynnianiu remanentów, jako że folder pochodził z roku 1970 (druk, a rękopis z 1969) i zawarte w nim informacje w dużej części już się zdeaktualizowały. Zamiast prezesa SPATIF-u, który właśnie przekraczał granice kraju i nie nadesłał zapowiedzianego referatu o roli środków masowego przekazu w kształtowaniu świadomości człowieka, przyjechał inny członek zarządu, i z rozbrajającą szczerością przyznał się przed 200 słuchaczami, że wyjeżdżając z Warszawy do Lublina nie miał pojęcia, o czym tu będzie mowa. Do reszty popsuła mi nastrój kawa, wprawdzie bezpłatna i podana z uroczym uśmiechem, ale podła.

Jednak w drugim dniu zmieniłem zdanie. Ową sesję naukową, zorganizowaną przez Oddział Lubelski Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa oraz Wydział Kultury Prez. WRN, a przy współpracy Woj. Domu Kultury i Lubelskiego Klubu Publicystów Polityki Kulturalnej Stow. Dziennikarzy Polskich — uznałem za potrzebną i pożyteczną. Więcej: trzeba, aby omawiane tam sprawy długo i uporczywie — gdy nie wystarczy przekonywanie to może nawet na zasadzie chińskiej tortury — drążyły świadomość nie tylko twórców, odtwórców i konsumentów kultury, ale także, a może przede wszystkim ludzi, na różnych szczeblach zarządzających całą naszą gospodarką.

Sesji nadano ogólny tytuł „Ekonomika i organizacja pracy w placówkach kulturalnych". Ale jako żywo poza jednym głosem w dyskusji (zresztą bardzo dyskusyjnym) i kilku ogólnymi spostrzeżeniami w jednym z referatów, o żadnych konkretnych placówkach kulturalnych mowy nie było. Bardzo niewiele też zastanawiano się nad organizacją pracy, a o humanizacji pracy w placówkach kulturalnych można sobie było tylko poczytać. Wszystko zaś skupiło się na zagadnieniach ekonomiki w kulturze.

To jest ładnie powiedziane, tylko o co właściwie chodzi? Przy bliższym rozpatrzeniu sprawa okazuje się wcale nie taka prosta na jaką wygląda. Otóż przez lat ponad dwa-

Dokończenie na str. 5

Wolność Tomku w campingowym domku?

Romuald Wiśniewski

CO pewien czas rozpowszechniają się w Lublinie pogłoski, iż jeziora w naszym województwie są skażone i nie należy się w nich kąpać. Raz jest mowa o grzybicy w Firleju, drugi o rzęsistku w Białym Włodawskim, trzeci — o jeszcze jakiejś bakterii powodującej chorobę skórną. To wszystko są plotki. Stacje sanitarno-epidemiologiczne pobierają systematycznie próbki wody z najbardziej wykorzystywanych turystycznie jezior i poddają je badaniom. Czystość wody jest zadowalająca, w niektórych jeziorach nawet znakomita. Dotychczas nie stwierdzono wypadku zakażenia w wyniku kąpieli.

Natomiast nad jeziorami zawisła inna groźba. Z każdym rokiem większa, z każdym bliższa.

Pojezierze Łęczyńsko-Włodawskie składa się z 68 jezior. W Firleju mamy 2 dalsze. Liczbą 70 można się tak długo łudzić, dopóki nie nastąpi poznanie szczegółów. Jeziora te są na ogół niewielkie, płytkie i w dużej mierze niedostępne z uwagi na bagnistość brzegów i otaczającego terenu, nie mówiąc już o znacznej odległości od dróg bitych. Pewna ich ilość pełni rolę zbiorników retencyjnych dla kompleksu melioracyjno-irygacyjnego kanału Wieprz-Krzna, wskutek czego poziom wody to się podnosi o metr-dwa, to opada. Nawiasem mówiąc, związanie jezior z kanałem być może uzasadnione było doraźnymi potrzebami gospodarczymi czy hydrologicznymi, lecz doprowadziło do zaniku niektórych gatunków roślin znajdujących się pod całkowitą ochroną. Kilka jezior, z uwagi na występującą w ich otoczeniu unikalną florę, musi być wyłączonych z użytkowania turystycznego, podobnie jak kilka innych, w których prowadzona jest gospodarka rybacka.

Po tych eliminacjach pozostaje niewielka ilość jezior dostatecznie dużych i głębokich, odpowiadających warunkom turystyczno-wypoczynkowym. Skoro zatem zasoby są niewielkie, należałoby nimi gospodarować jak najoszczędniej, by zaspokoić jak najwięcej potrzebujących. Tymczasem dzieje się odwrotnie. Marnotrawimy i tak niewielkie możliwości. Doprowadzamy do dewastacji otoczenia jezior, nad którymi mamy nabierać sił do dalszej pracy. Do likwidowania ich walorów.

Dokończenie na str. 6

Maria Józefacka

* * *

uzurpując sobie
nie prawo
przywilej
orzekania o świecie z pozycji atlasa
w tej samej chwili gdy grzbiet pęka
innym

uzurpując sobie
lawetę i muzykę wojskową
sztandary
gdy kondukt grzęźnie w błocie

uzurpując sobie
wyniosłość milczeń
w miastach krztuszących się wrzaskiem
cierpień arkadię
nieposzlakowaną
czystość uczuć

ci inni — pozbawieni glorii
w zabłoconych trzewikach w niezgodzie
jedynym ich świadectwem jest szczepienie ospy
ci inni

wątpiący o sobie określeni mrokiem
w którym nie mają mocy słońc rozjarzyć ledwie
sięgnąwszy do kontaktu
czuwać przy żarówce
przesiadywać do późna
wyczekiwać jutra
i supłać
koniec z końcem który może rychło

a drzwi przed sobą zobacz
półotwarte

* * *

podchodzą do samych okien
leśne stwory
głód je tu przygnał

i mnie zima

podchodzę ku tobie
ani wiem co z tej ręki otrzymam

życie
wolność
kulę między oczy

Spotkania Wokalistów Jazzowych

Jak marnuje się szanse

Mirosław Derecki

Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych. Śpiewa Jerzy Wawrzyniak z Warszawy.

Fot. Lucjan Demidowski

LUBELSKIE Spotkania Wokalistów Jazzowych — jedyna w swoim rodzaju impreza w Europie — narodziły się rok temu z inicjatywy lubelskiego oddziału Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego, z pomysłu grupy aktywnych młodych ludzi. Uzyskały poparcie naczelnych władz Stowarzyszenia, chociaż były one o tyle zaskoczone, że przecież Lublin nie posiadał zbyt wielkich tradycji jazzowych, nigdy też tutaj nie wykształciło się silne środowisko muzyków jazzowych. Brak odpowiedniego środowiska i brak tradycji rzutuje na powodzenie danej imprezy. Organizatorzy muszą się wszak liczyć i z frekwencją publiczności i z odpowiednim ustosunkowaniem się różnych władz, instytucji i urzędów. A impreza w założeniu miała być nie byle jaka i szkoda by było, gdyby się zakończyła niewypałem. Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych mają być corocznym forum europejskiej wokalistyki jazzowej oraz muzyków, krytyków i działaczy jazzowych. Spotkania mają służyć popularyzacji wokalistyki jazzowej w Polsce, a poprzez współzawodnictwo w konkursie stanowić międzynarodowy start dla „nowych twarzy" śpiewających jazz. To wszystko pociąga za sobą ogrom działalności organizacyjnej i musi się łączyć z wytworzeniem wokół sprawy sprzyjającej, życzliwej atmosfery, co z kolei w znacznej mierze zależy od miejscowego środowiska. Środowiska, na które — w wypadku Lublina — twórcza i słuszna inicjatywa spada jednak w sposób dość nieoczekiwany. Mimo to Zarząd Główny PSJ postanowił zaryzykować.

Miał zresztą Lublin — obok wspomnianych powyżej minusów — także swoje plusy. Jest miastem ładnym, posiadającym dużo zabytków, jest miastem zieleni, jest miastem młodzieży. Jest przy tym stolicą interesującego regionu, który warto poka-

Dokończenie na str. 6—7

teatrnn.pl

Kultura 1971

Literatura

● Kazimiera Iłłakowiczówna pracuje nad książką „Małe apokryfy" oraz przekładami współczesnych liryków rumuńskich. Karol Bunsch przygotowuje powieść o Władysławie Hermanie, Kornel Filipowicz opracowuje scenariusz filmowy, Aleksander Baumgarden kończy tom opowiadań współczesnych.

● Wydawnictwo Literackie zapowiada wydanie tomu „Utworów poetyckich" Joyce'a. Ciekawe, czy ta pozycja rozejdzie się równie szybko jak „Ulisses".

● Na 9-miesięcznym stypendium w Polsce przebywa poeta i eseista chorwacki Milivoj Slavicek. Zbiera on materiały do antologii „Współczesna poezja polska 1939-1969", która za 2—3 lata ukaże się w Zagrzebiu. Obejmie ona utwory 60 polskich poetów.

● W Polsce przebywał Dimitr Ikonomow. Przetłumaczył on na język bułgarski 30 polskich książek, ostatnio „Spiżową bramę". Obecnie przygotowuje antologię literatury polskiej.

● W archiwum historycznym Litewskiej SRR odkryto nie znane listy Alfreda de Vigny do hr. Aleksandry Kossakowskiej — de Laval, której poeta poświęcił swój poemat „Wanda".

● Członkiem Akademii Francuskiej na miejsce zmarłego Francois Maurica został 71-letni powieściopisarz Julien Green, z pochodzenia Amerykanin. W Polsce wydano wiele z jego utworów. Green zajmuje się głównie problematyką moralną.

● W Indiach zakończono uroczystości z okazji 300-lecia urodzin wybitnego pisarza w języku hindi — Namdewa, twórcy poezji hinduskiej.

● Zachodnioniemiecki pisarz Hans Helmut Kirst, zwany pisarzem od politycznych kryminałów, a konsekwentnie walczący z faszyzmem, napisał nową powieść pt. „Bohater urodzony w wieży". Akcja rozwija się w ramach walk we Francji w czasie II wojny światowej. Na warsztacie zaś ma powieść o dawnych Prusach Wschodnich na przełomie XIX i XX wieku, a więc o narodzinach pruskiego militaryzmu.

● W Dortmundzie istnieje zrzeszenie literatów pod nazwą „Grupa 61", której celem jest popularyzacja tematyki związanej z życiem świata pracy. Na konkurs dla debiutantów, ogłoszony przez grupę, wpłynęło 150 prac, z których wysoko oceniono 30 i wydano w formie książki.

Teatr

● W Pradze odbyło się Quadriennale Scenografii. Nasz kraj reprezentowało 11 autorów średniego pokolenia.

● Na Letnim Festiwalu Sztuki w Paryżu jeden z zespołów grał „Sejm niewieści" Arystofanesa. Ponieważ spóźniły się samochody z kostiumami, aktorzy — ku zdumieniu publiczności — wystąpili w dżinsach i mini-sukienkach. Gdy kostiumy przyjechały, każdy schodzący ze sceny aktor przebierał się i pod koniec sztuki wszystko było w porządku. Publiczność przyjęła to jako doskonałą zabawę.

Muzyka

● Warszawska Operetka wystawiła „Zemstę nietoperza" J. Straussa w reżyserii Erwina Leistera (NRD).

● W Muzeum Marksa i Engelsa w Moskwie otwarto wystawę z okazji setnej rocznicy powstania Międzynarodówki.

● W Paryżu odbyła się doroczna Trybuna Kompozytorów przy Radzie Muzycznej UNESCO. Pierwsze miejsce zajął kompozytor amerykański George Crumb za kantatę, opartą na poematach Lorki.

● Na nowojorskim Broadwayu w dalszym ciągu królują musicale, oparte na różnych książkach lub już granych poprzednio sztukach teatralnych. Podobno wystawienie każdego nowego musicalu kosztuje około 8 milionów dolarów.

Sztuka

● W grodzisku w Mścięcinie pod Stargardem odkryto pozostałości najstarszej fazy tzw. kultury ceramiki sznurowej sprzed czterech i pół tysiąca lat. Odkrycie jest sensacyjne, dowodzi, że nasi przodkowie prowadzili wówczas także życie osiadłe, a nie tylko wędrowne, jak przypuszczano dotychczas.

● Podjęto prace przy budowie nowej siedziby Muzeum Morskiego w Gdańsku. Otrzyma ono 5 odbudowanych i zrekonstruowanych zabytkowych śpichrzów, które mają powierzchnię 20 razy większą od dotychczasowej siedziby. Powstaną również dwie filie — muzeum rybackie na Helu i muzeum żeglarskie w Gdyni.

● Laureatką konkursu na plakat poświęcony M. Kopernikowi została Anna Kruczkowska-Pieczykolan z Bytomia.

● Istniejące w Wielkiej Brytanii trzy muzea kolejowe zostaną połączone i przeniesione do jednego muzeum w Yorku.

● Na dnie Zatoki Neapolitańskiej znaleziono zachowany w dobrym stanie posąg Wenus z Delf.

● Latem odbędzie się w Spale ogólnopolski plener przedolimpijski, organizowany przez oddział ZPAP w Łodzi. Prace wezmą udział w ogólnopolskim konkursie przedolimpijskim na obraz, grafikę i rzeźbę, który odbędzie się w marcu 1972 roku w Warszawie.

● U podnóża Araratu archeologowie armeńscy odkryli resztki obserwatorium astronomicznego, które istniało tam już w XIX wieku p.n.e.

Film

● W Wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi rozpocznie się produkcja pierwszego w Polsce filmu na taśmie szerokości 70 mm, będzie to pierwszy akt „Westerplatte" St. Różewicza.

● Jak się okazuje i konie występujące w filmach mają swoich dublerów. Słynny koń Fury w USA miał jednego dublera od skoków przez przeszkody, drugiego od stawania na tylnych nogach, trzeciego od kłusowania i czwartego od galopu.

● Po ekranach zachodnioniemieckich krąży 170 mniej lub więcej pornograficznych filmów. Oto kilka tytułów: „Porno — między sexem a grzechem", „Pornografia w Danii", „Pornokracja", „Willa Porno", „Hrabina Porno z Ekstazy", „Pornohrabia Luksemburg".

● Po raz pierwszy w filmie Ingmara Bergmana aktorzy będą mówić po angielsku. Będzie to opowieść miłosna z amerykańskim aktorem Elliottem Gouldem w roli głównej. W innych czołowych rolach wystąpią „bergmanowscy" artyści Bibi Anderson i Max von Sydow.

● Film „The girl on the green mountain", do którego scenariusz powstał w oparciu o dzieło Ibsena "Peer Gynt", nakręcony zostanie w koprodukcji angielsko-norweskiej, a w roli głównej wystąpi Tom Courtenay. Reżyserem będzie Michael Elliott. Kinematografia norweska coraz częściej podejmuje prace w koprodukcji. Ostatnio jedną z ciekawszych realizacji był film norwesko-radziecki poświęcony badaczowi arktycznemu Fridtjofowi Nansenowi.

Różne

● Na części obrad zjazdu delegatów Stow. Dziennikarzy Polskich był obecny I sekretarz KC PZPR Edward Gierek. Przewodniczącym Zarządu Głównego został ponownie red. Stanisław Mojkowski, redaktor naczelny „Trybuny Ludu".

● Minister Kultury i Sztuki L. Motyka przebywał na Węgrzech. Omawiano problemy powołania polsko-węgierskiej komisji do spraw współpracy kulturalnej.

● Przewodniczącym stowarzyszenia autorów ZAIKS został Karol Małcużyński.

● W Nowym Jorku otwarto wystawę „Sztuka hieroglifów Mayów", na której zgromadzono niemal wszystkie znaleziska z hieroglifami. Pismo to nie zostało dotychczas odczytane. Powstał obecnie nowy komitet, który zamierza w ciągu 15 lat wyświetlić tajemnicę tych hieroglifów, co może rzucić nowe światło na całą kulturę Mayów.

● Wiele stacji telewizyjnych w USA nadawało w programach dla dzieci najpierw filmy w rodzaju „Frankenstein" czy „Syn Drakuli", potem serię „Och, dreszczowiec", obecnie „Czarne cienie" — w jednym odcinku kilkanaście wampirów, szkielety, duchy, ryki, rzężenia, morderstwa, napady.

● W ostatnim wywiadzie (udziela ich niezwykle rzadko) Agate Christie powiedziała m. in., że z punktu widzenia władz szkolnych jest analfabetką, ponieważ uczyła się tylko prywatnie. Najlepsze pomysły przychodzą jej do głowy podczas kąpieli, albo gdy pije popołudniową herbatę. Czasem inspirują ją gazety.

● Lisa Kalogeropoulos, matka byłej przyjaciółki miliardera Onassisa — Marii Callas, oskarżyła w prasie greckiej Jacqueline Onassis o złamanie kariery jej córki. Po ślubie tych dwojga — twierdzi — moja córka z rozpaczy utraciła głos.

● W Centralnym Państwowym Archiwum Akt Dawnych w Moskwie odnaleziono sześć pisanych po francusku listów Natalii Gonczarowej, żony Puszkina. Treść tych prywatnych listów obala całkowicie dotychczasowe sądy, iż Natalia nie troszczyła się o męża i dzieci, zajęta tylko własną urodą. Listy zostały ogłoszone w czasopiśmie „Literaturnaja Rossija" i stanowią sensację dla puszkinologów.

● Picasso nie był w swojej ojczyźnie od czasów wojny domowej. Ostatnio oświadczył: „Ciągle ktoś zapowiada mój powrót. To nieprawda. Czy to ma być walka byków czy wystawa sztuki — nie powrócę do Hiszpanii, jak długo moja ziemia ojczysta będzie znajdować się pod reżimem Franco.

● Profesor uniwersytetu w Tuebingen (NRF) Thomas Barthel rozszyfrował 75 znaków spośród 400 różnokolorowych figur geometrycznych, stanowiących system znaków pisma węzełkowego Inków. Zdaniem uczonego pismo to przypomina hieroglify egipskie sprzed 6 tysięcy lat.

● Według najnowszego rocznika ONZ w roku ub. wydano na świecie około pół miliona tytułów książkowych, z czego najwięcej (75 723 — w tym 31 tys. prac naukowych) w Związku Radzieckim, następnie 59 217 tytułów w USA.

● Wydawca francuski Jerome Martineau zakupił autobus, który pod nazwą „Erotobus" będzie jeździł przez miejscowości wypoczynkowe nad morzem, sprzedając odpowiedniej treści książki. Do września wydawca spodziewa się sprzedać 3 tony książek.

● W Rzeszowie powstał kolejny oddział Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa.

● Grupa działaczy kulturalnych w Ełku powołała do życia Ełckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Prezesem zarządu został znany na Warmii i Mazurach działacz i badacz przeszłości tego regionu — Jan Kawecki.

Raquel Welch w służbie diabła — tak zatytułował to zdjęcie fotograf. Prosimy osądzić.

Kamena str. 2

Pokojowy pakiet

JESZCZE podczas marcowego Zjazdu KPZR Leonid Breżniew wysunął najpierw w sześciu punktach program pokoju, który miałby objąć cały świat, a następnie wezwał narody świata do tego, aby lata siedemdziesiąte XX wieku stały się dla ludzkości okresem wyścigu konsumpcji a nie wyścigu zbrojeń. Wydawało się, że zarówno ów program jak i następujące po nim wezwania spotkają się z powszechną aprobatą. I tak było rzeczywiście jeżeli chodzi o tzw. prostego człowieka, który ma już dość różnych ograniczeń, wynikających ze stałego wzrostu wydatków na zbrojenia, a także nie chce mieć przed sobą perspektywy osobistego udziału w wojnie. Natomiast część polityków jak i komentatorów prasowo-radiowych państw zachodnich nie omieszkała — jak zwykle przy takich okazjach — szukać dziury w całym. Ich mniej lub więcej cierpkie uwagi sprowadzały się do tego, iż w propozycjach Breżniewa było rzekomo zbyt dużo werbalizmu, natomiast zbyt mało konkretów.

Był to chwyt propagandowy o nie najlepszej sławie. Tak już przecież jest na świecie, że przywódcy państw czy partii występując z inicjatywami nie wysuwają zbyt wielu konkretów. Albowiem zdają sobie sprawę, że jeżeli ich propozycje mają przynieść jakąś realną korzyść, muszą otrzymać ostateczny kształt dopiero w wyniku dyskusji i wzajemnych ustępstw, koniecznych dla osiągnięcia wyższego celu. Jakże łatwo przecież w innych wypadkach zawołać: to dyktat!

A przecież wystarczało nieco dokładniej przeczytać tekst przemówienia, wygłoszonego na XXIV Zjeździe KPZR przez jej sekretarza generalnego, aby bez trudu skonkretyzować owe sześć projektów: 1) równoczesna likwidacja NATO i Układu Warszawskiego (albo — na początek — tylko ich organizacji wojskowych), 2) zakaz używania broni nuklearnych, chemicznych i bakteriologicznych, 3) wstrzymanie podziemnych prób z bronią nuklearną, 4) zwołanie konferencji pięciu mocarstw nuklearnych (USA, Chin, Wielkiej Brytanii, Francji i ZSRR) w celu rozbrojenia nuklearnego, 5) redukcja sił zbrojnych w Europie środkowej, 6) redukcja budżetów militarnych.

Nie była to pierwsza inicjatywa Związku Radzieckiego, zmierzająca do rozbrojenia czy — jeśli ktoś woli inne sformułowanie — odprężenia militarnego bądź generalnego unormowania stosunków Wschód — Zachód z myślą o zabezpieczeniu trwałego pokoju. Zawarty w sierpniu 1963 roku układ o częściowym zakazie eksplozji nuklearnych (w powietrzu i pod wodą) narodził się przecież z inicjatywy radzieckiej. W marcu 1967 roku kraje Układu Warszawskiego wysunęły propozycje zwołania konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie. Projekt ten, początkowo szokujący dla niektórych państw wchodzących w skład NATO, zwłaszcza dla USA, dziś już jest przez te państwa dyskutowany, a poza nimi zdobył sobie szerokie poparcie.

Po wysunięciu każdej kolejnej propozycji odzywały się głosy mniej lub więcej ukrytych kontynuatorów okresu zimnej wojny: werbalizm, brak konkretów. Tym razem jeszcze owe głosy po propozycjach XXIV Zjazdu nie ucichły, gdy oto Związek Radziecki wystąpił z nowymi, jeszcze bardziej konkretnymi propozycjami. 14 maja na przedwyborczym wiecu w Tbilisi, Breżniew zaproponował zrównoważone zredukowanie sił zbrojnych i zbrojeń w Europie. 8 czerwca minister Andriej Gromyko zwrócił się o umieszczenie na porządku dziennym najbliższego Zgromadzenia Ogólnego ONZ przedstawionego równocześnie projektu międzynarodowego układu o statusie Księżyca. I wreszcie 11 czerwca Leonid Breżniew, przypominając XXIV Zjazd, zaproponował podjęcie rokowań celem redukcji marynarek wojennych wielkich mocarstw na odległych wodach.

W przemówieniu na ten ostatni temat Breżniew jednocześnie uziemił tych wszystkich, którzy od czasu Zjazdu wypełniali całe kolumny niektórych pism rozważaniami o owym „braku konkretów" i dał konkretną odpowiedź na wysuwane przez nich pytania, na które jakoby nie chciał odpowiedzieć. A więc stwierdził jasno i wyraźnie, że proponowana redukcja sił zbrojnych w Europie miałaby obejmować nie tylko wojska narodowe, ale i obce, przebywające na terenie innych państw, i to zarówno amerykańskie jak i radzieckie. I po drugie — że redukcja okrętów wojennych objęłaby także Morze Śródziemne, a więc ten ważny strategicznie i gospodarczo akwen, który jest położony wielokrotnie bliżej Związku Radzieckiego niż Stanów Zjednoczonych, co oznacza więc większe ustępstwo ze strony ZSRR.

Korespondent francuskiej agencji AFP Jean Raffaeli pisał po dwóch dniach:

W imię czego, w jakim celu i dla osiągnięcia jakich wyników Związek Radziecki prowadzi tę politykę z taką wytrwałością i uporczywością? Odpowiedź na to daje, zdaniem obserwatorów, słynne hasło rzucone przez Breżniewa na XXIV Zjeździe: „Związek Radziecki przeciwstawia się polityce agresji imperialistycznej, jego polityka to aktywna obrona pokoju i umocnienie bezpieczeństwa międzynarodowego". Analiza stanowiska radzieckiego w okresie powojennym wydaje się wskazywać, że Związek Radziecki znajduje się w okresie, kiedy jego główną troską jest zapewnienie swego bezpieczeństwa narodowego, aby kontynuować swój rozwój techniczny i społeczny.

Na te wszystkie propozycje państwa zachodnie zareagowały z ociąganiem się i bez zajęcia wyraźnego stanowiska. W pierwszych dniach czerwca odbyła się w Lizbonie sesja rady ministerialnej NATO. W wyniku wzrastającego nacisku opinii światowej głównym tematem obrad były propozycje Breżniewa z XXIV Zjazdu. Odrzucenie ich, a nawet uchylenie się od odpowiedzi nie było już możliwe. Sięgnięto jednak do starego arsenału wątpliwości, konieczności przeprowadzenia sondaży, rozmów przedwstępnych i wstępnych itd. Ustalono procedurę, w wyniku której do pierwszych konkretniejszych rozmów może dojść nie prędzej niż pod koniec roku — i to pod warunkiem, że spece od kunktatorstwa nie wynajdą nowego pakietu wątpliwości.

Jeżeli chodzi o redukcję marynarek wojennych, brak dotychczas oficjalnych wypowiedzi zachodnich polityków. Natomiast agencja Reutera donosi z Waszyngtonu, że *przedstawiciele USA ustosunkowali się ostrożnie do propozycji przywódcy radzieckiego* i że *Departament Stanu uchylił się od wszelkich natychmiastowych komentarzy.* W Londynie półoficjalnie też wysunięto szereg osławionych już „wątpliwości". W kołach NATO w Brukseli podkreśla się, że ostatnie propozycje *w niczym nie zmieniły stanowiska, sformułowanego podczas sesji Rady Ministerialnej.*

Jednak ofensywa pokojowa ZSRR — jak ją często nazywają zachodni dziennikarze — nie ustaje. Wiceminister spraw zagranicznych ZSRR Carapkin, uważany za speca od spraw rozbrojenia, pojechał do Londynu, gdzie odbył szereg rozmów. Ambasador Dobrynin odbył godzinną rozmowę z sekretarzem stanu Rogersem, po której oświadczył: *dokonano pożytecznej wymiany poglądów w sprawie wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie i obie strony uzgodniły, że przeprowadzą na ten temat dalsze rozmowy.* Ale rzecznik Rogersa, Bray, potwierdził wprawdzie, że rozmowa była pożyteczna, dodał jednak pospiesznie, że *nie doszło do dostatecznego wyjaśnienia stanowisk w takim stopniu, by można było rozpocząć rokowania.*

Tak więc wysuwane od wielu lat pokojowe inicjatywy radzieckie w kręgach, związanych z układem NATO, nie są witane ze zbytnim entuzjazmem. Po prostu dlatego, że zagrażają samemu istnieniu tej wojskowej organizacji, która wprawdzie nazywa się układem obronnym, ale broni się właściwie nie wiadomo przed kim. Natomiast wiadomo przed czym: przed naturalną śmiercią. Ta śmierć bowiem oznaczałaby koniec kariery wielu polityków i generałów, a także koniec wielkich zysków z produkcji zbrojeniowej.

Nie trzeba udowadniać, że wydatki na zbrojenia są olbrzymie. Po obu stronach. Jest to właściwie studnia bez dna. W dobie olbrzymiego postępu naukowo-technicznego wszelka seryjna produkcja broni jest już w gruncie rzeczy nieco przestarzała w chwili jej podjęcia. Fachowcy twierdzą, że w okresie powojennym każda armia, która chce być nowoczesna, musiała przynajmniej cztery razy zmienić kompletnie uzbrojenie. Koszt wyszkolenia już nie tylko każdego oficera, ale także żołnierza wzrasta co roku o kilka procent. Jeżeli nawet zgodzić się, że na świecie utrzymuje się jakaś równowaga sił, to następuje ona na coraz wyższym, groźniejszym poziomie.

Kiedy wreszcie nastąpi koniec tego szaleństwa? Niestety, nikt na to odpowiedzieć nie umie. Korea, Wietnam, Bliski Wschód, Laos, Kambodża — układają się w specyficznie logiczny ciąg, który wreszcie trzeba przerwać. Do tego właśnie zmierzają od wielu lat inicjatywy Związku Radzieckiego, taki również jest sens ostatnio wysuniętych propozycji. Kiedyś USA, a pod ich naciskiem państwa NATO, mogły sobie pozwolić na odrzucanie czy chociażby przemilczanie tych inicjatyw. Dziś jest to już niemożliwe. Zmienił się nie tylko układ sił militarnych, ale także nacisków społeczeństw. Ludzie nie chcą umierać w interesie grupy generałów czy byznesmenów.

Trzeba więc mieć nadzieję, że mimo wszystko „pokojowy pakiet" Związku Radzieckiego prędzej czy później będzie musiał być w takiej lub innej formie przyjęty. Oby jak najszybciej.

(d)

Za Bugiem

WSPÓŁCZESNY poeta i dramaturg białoruski Wasil Witka urodził się 60 lat temu we wsi Jewlicze obwodu mińskiego. Drukować rozpoczął w roku 1928, najbardziej jednak znane są jego zbiorki poetyckie wydane już po drugiej wojnie światowej, takie jak: „Południe" 1964, „Wierność" 1952, „Róża i bagnet" 1958 i inne. Poemat dramatyczny W. Witki pt. „Szczęście poety" z 1951 roku poświęcony jest centralnej postaci w literaturze białoruskiej, Jance Kupale. Utwór ten zdobył najszerszą sławę również poza Białorusią, został bowiem dotychczas przetłumaczony na języki rosyjski i ukraiński.

W majowym numerze miesięcznika literackiego wychodzącego w Mińsku „Połymia" umieścił W. Witka nowy cykl swoich wierszy. Cykl nosi tytuł „Dobry mój rok". Jego wiersze, potoczyste i dźwięczne, dotyczą między innymi zjawisk przyrody, na przykład wiersz o wiośnie, o deszczu, o dojrzewaniu zbóż. Przedstawienie tych spraw nie jest celem samym w sobie, przebija tu głęboka refleksyjność życiowo-filozoficzna. Po swojemu patrzy poeta na szczęście, oryginalnie przedstawia odwieczny temat prometeizmu w „Modlitwie Prometeusza, który skradł ogień błękitny", po swojemu patrzy na nasz wiek:

Teraz mamy żelazne nerwy,
Do Ibów nam guzy nie przystają,
Nasze Ewy żują nie jabłka, lecz konserwy
Konserwy miłości,
Poezji,
Muzyki.

Poeta zakochany jest w tradycji, patrzy na nią oczami współczesnego człowieka, który pozostał nadal patriotą swojego kraju. Opiewa moe słowa, porównując je z ptakami, które odlatują i wracają, z ziarnem, które wschodzi zasiane w dobrą glebę. Całą swoją istotą czuje potrzebę pieśni, przyrównuje ją do śpiewu ptaka, bez czego w przyrodzie byłoby całkiem smutno.

Szczególnie bliska jest poecie pieśń ludowa. W jego wierszach zresztą przebija ona bardzo wyraźnie nie tylko w rytmie, ale i niekiedy w wyrazie artystycznym. Przetwarza ją w dźwięczny i gładki wiersz. Poeta zwraca się serdecznymi słowami do Litwy i Karelii. „Od oczu twoich, Litwo, dusza ma młodnieje" — wyznaje. Karelię nazywa „siostrą duszy". W ostatnim wierszu pisze W. Witka o swoich 60 latach, w niedużym wierszu mieści swoją biografię poezji i życia rodzinnego.

W tym samym numerze czasopisma „Połymia" czytamy esej U. Jurewicza o życiu i twórczości W. Witki. Okazuje się, że współczesny liryk białoruski od wielu lat pisze również wiersze dla dzieci. Redaguje jedyne czasopismo białoruskie dla najmłodszych „Wiasiołka", umieszcza tu liczne wiersze, bajki, opowiadanka.

W. Witka poświęcił swe życie ważnej sprawie: — odczuwaniu siły słowa i nauczeniu tego innych — stwierdza w podsumowaniu autor eseju.

M. Ł.

Z drewna powstały w proch się obrócą

Ireneusz J. Kamiński

TEN pejzaż nie jest tłem, neutralną scenerią oczekującą na nie wiadomo jakich bohaterów, którzy zjawią się nieoczekiwanie, aby wśród zielonych i gęstych lasów, dzielonych na części rozległymi polami ciężkiej pszenicy, zawikłać dramatyczną intrygę, bez reszty skupiającą uwagę zabłąkanego widza. Ten pejzaż zastygł w ogromnym skupieniu, krótkim horyzontem, ciętym w odległości dwustu czy czterystu metrów, nie daje spoczynku oczom, które w napięciu uniesionych nieco w górę pól szukają szczeliny choćby, przedłużającej spojrzenie stopniowo aż do dalekiej kreski, znaczącej wejście ziemi w niebo. Nic z tego. Tylko od czasu do czasu wzrok skacze w górę, podbity małym garbem ciemniejszej zieleni. Bunkry.

Wypatroszone trotylem już w latach powojennych, zrujnowane, poszarpane, do niczego nieprzydatne, w tym swoim upodleniu ostatecznym są przecież patetyczne, może nawet groźne, mimo że w stalowych prętach obnażonego uzbrojenia zadomowiły się smukłe i białe brzózki, a miękkie łany zbóż łagodnie ocierają się o betonowe krawędzie. Jestem tu trzeci lub czwarty raz. Wiem, że to bezsensowne, ale znów patrzę uważnie w otwory strzelnicze, w trawę pod stopami — może łuskę jaką wypatrzę, może kości, może sztylet prowidnika, może ślad jakiś po kureniu. Nic, tylko padlina kota domowego, obiepiona tysiącem mrówek. Wrócę tu kiedyś i wszystko powtórzy się identycznie, jedynie kot inną postać przybierze.

Czternaście kilometrów za Tomaszowem Lubelskim, na południe, skręcamy w prawo. Jeszcze trzysta metrów: Kniazie. Na początku wsi niewielki pagórek niesie małą cerkiewkę, zwieńczoną kopułą. Wokół cmentarz zarośnięty gęstymi bzami, które już dawno przekwitły, lecz z roku na rok coraz szczelniej nakrywają kamienne nagrobki z polskimi i ukraińskimi inskrypcjami. Postawiono je sto i więcej lat temu, postawiono je niemal wczoraj. Dla wiecznego spoczynku ludzi zmęczonych i zamęczonych. Dla ostatniej satysfakcji żyjących, którzy zgodnie z własnymi poglądami na dobro i zło, prostują kręte, ich zdaniem, ścieżki krewniaków. Wojciecha S. złożono do grobu w 1958 roku — bez krzyża, ale ktoś wykuł otwór w płycie, wbił i zacementował ten symbol odkupienia. Wojciech S. był kiedyś członkiem KPZU, PPS-Lewicy, PPR-PZPR. Pobliski grób człowieka o podobnej biografii uchronił się przed miłością bliźnich.

— Nie pilnują jej? — pyta najlepszy kierowca Lublina, rozchylając wrota cerkwi.

— A co tu pilnować? — dobiega zza węgła głos przedstawiciela władzy powiatowej, towarzyszącego nam w wyprawie.

Nie ma co pilnować, od dawna już nie ma czego pilnować, z podłogi pozostało kilkanaście desek. Połowa prezbiterium runęła, otwierając wnętrze słońcu, deszczom i wiatrom, ptakom, które nad świętym miejscem ikonostasu wiją gniazda. Ani jednego obrazu, ani figury, tylko skrawki równo ciętej przy ramie materii przypominają dawne czasy i złodziejski pośpiech zmotoryzowanych miłośników sztuki i dewiz, którzy w imię najwyższych racji pomnażania dóbr doczesnych zniewolili cerkiewnego ducha, zamkniętego w ikonie.

Ołtarz rozbity, dwie kolumienki z jego konstrukcji walają się w śmierdzącym piasku, jedna lśni złotem stebnowanym czarnym ornamentem roślinnym, więc dłonie drżą zachłannie.

— Niech pan bierze, bo i tak ktoś to ukradnie.

Bierz, człowieku, bo ktoś inny weźmie, a przecież ty właśnie najlepiej zaopiekujesz się obrazem czy rzeźbą, ty docenisz dzieło — historyku sztuki, plastyku, etnografie, człowieku kulturalny. W imie takiej racji, tłumiącej moralne niepokoje, okradziono cerkwie lubelskie i rzeszowskie z dzieł najpiękniejszych, takim argumentem bronili się krakowscy studenci historii sztuki oskarżeni o ikonowe złodziejstwa. Dzisiaj w opuszczonych cerkwiach znaleźć można tylko żałosne resztki dawnego wyposażenia, więc i dylemat moralny upada, a o handlowych wartościach nie ma doprawdy co mówić, o czym wypada poinformować przeróżnych „amatorów".

Stawiam kolumienkę na wysokiej belce, otwieram katalog zabytków sztuki powiatu tomaszowskiego, opracowany w 1954 roku, lecz dotąd nie opublikowany, ciągle w maszynopisie. Wynika z niego, że cerkiew grecko-katolicka w Kniaziach, zbudowana w 1806 roku, posiada: ołtarzyk boczny, barokowy, w nim zaś dwa obrazy barokowo ruskie, poza tym rzeźbione carskie wrota i resztki górnej części ikonostasu z trzema obrazami, a także osiemnastowieczny krzyż ołtarzowy i dwa drewniane lichtarze klasycystyczne. Katalog wymienia rzeczy już dawno w Kniaziach nieobecne, jest nekrologiem cerkwi.

Wychodzimy na zewnątrz przez dziurę w ścianie nawy; tędy zapewne krzaki i łopiany wprowadzą się do środka. Za zrujnowanym prezbiterium stoi drewniana dzwonnica, współczesna cerkwi. Dość dobrze zachowana, o świetnych proporcjach, wymaga niewielkiego tylko remontu, który na długie lata może przedłużyć jej życie. Kto go wykona? Cerkiew nie ma użytkownika, jest zaledwie zabytkiem architektury drewnianej, powiat nie dysponuje żadnymi środkami na takie cele, a możliwości finansowe wojewódzkiego konserwatora zabytków są śmiesznie małe, w stosunku do potrzeb niemal żadne.

Dwukondygnacyjną dzwonnicę można jednak uratować. Cerkwi nic i nikt już nie pomoże, lada rok zamieni się w rumowisko, w najbardziej zaniedbany nagrobek zanurzonego w bzach cmentarza. Jedyne realne wyjście, prowadzące do zachowania obiektu dla historii, to inwentaryzacja cerkwi, a następnie rozebranie jej na części, które należałoby przekazać Muzeum Wsi Lubelskiej; autentyczny materiał służyłby do remontów innych lepiej zachowanych zabytków.

Łatwo w tym miejscu zaprotestować, przywołując na pomoc racje kulturowe, historyczne, humanistyczne i bóg wie, jakie jeszcze. Byłby to protest wielkoduszny, szlachetny, trudny do odparowania, ale nie liczący się z rzeczywistością. Ta zaś jest bezwstydnie wyrachowana, z konsekwencją bije między uszy idealne wyobrażenia, stwierdza bez żenady, że na Lubelszczyźnie za późno zainteresowano się cerkwiami, przynajmniej o lat dziesięć, co wiele obiektów doprowadziło do stanu ruiny. Po roku 1956, kiedy oficjalnie dostrzeżono cerkwie jako obiekty zabytkowe, uwaga opinii krajowej i służby konserwatorskiej skupiła się na Rzeszowszczyźnie, w ścisłym związku z „odkryciem" Bieszczad. Wokół zabytków lubelskich panowało milczenie, trwające w gruncie rzeczy do dziś. Zatem cerkiewki nie użytkowane, lub źle użytkowane znalazły się w takim stanie, który z punktu widzenia współczesnych założeń konserwatorskich wyklucza sensowność jakichkolwiek zabiegów uzdrawiających, albowiem byłyby one równoznaczne z postawieniem nowego obiektu. To zaś bardziej przypominałoby szamerowaną mistyfikację, niż troskę o autentyzm historyczny. Pomstując na zaniedbania minionych lat, powstałe w następstwie złożonych elementów o zabarwieniu społeczno-politycznym także, liczmy się jednak przede wszystkim z obecną rzeczywistością.

Rozbiórka cerkwi na materiał to ostateczność, która, mimo wszystko, i piszącego te słowa przyprawia o zimne dreszcze. Na szczęście takie rozwiązanie obejmuje niewiele obiektów, najbardziej zdewastowanych. Zabytki w lepszym, choć także opłakanym stanie, o drewnie nie zmurszałym, można by po inwentaryzacji rozebrać i złożyć do swoistej przechowalni, gdzie odpowiednio zabezpieczone czekałyby na lepsze czasy, czyli na przypływ środków materialnych i mocy organizacyjnych, które dźwignęłyby je do ponownego życia. Najcenniejsze zaś należałoby przenieść do Muzeum Wsi Lubelskiej, kilka innych, mocno związanych z lokalnym pejzażem, pozostawić in situ, oddając pod opiekę wspomnianemu Muzeum. Takie są plany i koncepcje wojewódzkiego konserwatora zabytków, zbieżne w zasadzie z widzeniem sprawy przez dyrekcję Muzeum Wsi Lubelskiej.

Z drugiej strony istnieje tzw. rzeczywistość. W jej świetle racjonalne plany wejdą między pobożne życzenia — pod tym względem płodna nasza Lubelszczyzna, „zagłębie inicjatyw" — jeśli w materialno-organizacyjnych podstawach ochrony zabytkowych cerkiewek (i w ogóle wszystkich obiektów architektury drewnianej) nie zajdą zasadnicze zmiany. Wstępnym etapem poważniejszych prac budowlano-konserwatorskich, mam tu na myśli również rozbiórkę cerkwi do „przechowalni", jest inwentaryzacja obiektu, wykonywana z reguły przez Pracownie Konserwacji Zabytków. Wierzyć się nie chce, jakie to kosztowne, za inwentaryzację parterowej chałupy wiejskiej w Żukowie PKZ wystawiły rachunek na 27 tys. zł, czyli na sumę znacznie przewyższającą aktualną wartość samej chałupy. Inwentaryzacja jednej cerkwi pochłonęłaby minimum 100 tysięcy. Wiadomo na dodatek, że zawalone zleceniami PKZ pracują bardzo wolno, cerkiewki natomiast są drewniane i dość wiekowe, coraz słabsze.

Obecny budżet Muzeum Wsi Lubelskiej, które w niedalekiej przyszłości ma być głównym opiekunem cerkiewek, absolutnie nie pozwala na przeprowadzenie inwentaryzacji tych zabytków za pośrednictwem PKZ, zaś tempo robót wykonawczych, prowadzonych przez to przedsiębiorstwo, w śmiech obraca samą ideę uratowania cerkiewek.

Jednym ze sposobów rozwiązania tego coraz grubszego i poplątanego „węzła lubelskiego" byłoby stworzenie przez Muzeum własnej grupy remontowej. To jednak wymaga nowych etatów, zwiększenia funduszu płac i miejsc w hotelu robotniczym, czyli rodzi niełatwy dziś do rozgryzienia problem finansowo-organizacyjny, ale gwarantuje, już jutro, znaczną obniżkę kosztów prac ratowniczych przy cerkiewkach, zapewniając skuteczność całego działania.

Jak tu jednak marzyć o grupie remontowej, o czymś znakomicie zresztą sprawdzonym choćby w Sanoku, jeśli powołane ponad dwa lata temu uchwałą Prezydium WRN w Lublinie Muzeum Wsi Lubelskiej jest w istocie bezdomne. Dyrekcja, pracownicy merytoryczni i administracyjni oraz dozorca, w sumie 9 osób, korzystają z jednego barakowego pomieszczenia o powierzchni 16 metrów kwadratowych; w drugim pokoju o podobnej wielkości mieści się „magazyn". W czasie swojego krótkiego istnienia i w takich warunkach Muzeum zdołało jednak zgromadzić ponad 1200 eksponatów, w tym pięć unikalnych wiatraków, wiele niespotykanych już strojów ludowych, młyn wodny, turbinę powietrzną, skrzynie malowane, ikony, rzeźby, topory ciesielskie, tysiąc książek na koniec, które przy większym wstrząsie walą się pracownikom na cierpliwe głowy. Poważna część tych eksponatów przechowywana jest w różnych miejscowościach Lubelszczyzny, często u osób prywatnych, a więc wbrew przepisom; jedyny większy magazyn Muzeum, w wojsławickiej cerkwi, pęka od eksponatów (mimo że murowany), a użyczony przez Muzeum Okręgowe barak po dawnej wystawie rolniczej także wypełnił się po brzegi. Ostatnio Muzeum zmuszone było przerwać dalsze zakupy, bo po prostu nie ma ich gdzie magazynować. Żeby było śmieszniej, odebrano tej placówce przydział na rozległe pomieszczenia w obiekcie sakralnym na Kalinowszczyźnie, bezpośrednio graniczącym z terenem przyszłego skansenu. Najstarsi ludzie w Lublinie nie pamiętają takiej zabawy kosztem społecznych wartości, niektórzy zaś przebąkują, że z tego wszystkiego dyrektor Muzeum obwiesi się rychło na zabytkowym koślaku.

Tymczasem jednak jesteśmy w Kniaziach, gdzie słońce dopieka niczym wyrzut sumienia. Na cerkiewce jest starość, nie ma tablicy z napisem „Obiekt zabytkowy".

— W najbliższych latach przeprowadzimy rejestrację wszystkich zabytków, znajdujących się na terenie powiatu — informuje przedstawiciel miejscowych władz oświatowo-kulturalnych.

— Czy ten obiekt ma społecznego opiekuna zabytków?

— Na pewno. Ale to fikcja, ta cała opieka. To także chcemy zweryfikować.

Do Teniatysk dojechać nie można, ale warto przejść te dwa kilometry polem — lasem, zachęca do tego wspomniany katalog zabytków, który obiecuje cerkiew z 1754 roku, trójdzielną, z prezbiterium i kompletnym ikonostasem z XVIII w. Na miejscu okazuje się, że prezbiterium i kruchta dawno runęły, z dzwonnicy pozostała tylko konstrukcja, a z ikonostasu — powód do rozpaczy. Uratowanie tej cerkwi wydaje się niemożliwe.

Tarnoszyn — Fot. Z. Zugaj

Niedaleko przecież Wierzbica, gdzie — zgodnie z katalogiem — powinna być cerkiew unicka z ubiegłego wieku. Jest, i owszem, z trzema kopułami, na rzucie krzyża.

— Aż dziw, panie, że jeszcze stoi po tych nawozach, do półtora metra wysokości zalegały i żarły deski. No i stoi, miejsce święte, to i stoi — metafizycznie wyjaśnia fenomen budowlany jakiś skromnej postury obywatel. — A panowie za obrazkami? — uśmiecha się smutno.

Przy samej granicy, nad rzeczką Sołokiją, leży Korczmin z cerkwią grecko-katolicką, wzniesioną w 1658 r. i częściowo remontowaną zaraz po ostatniej wojnie. W katalogu poświęcono jej półtorej strony zwięzłego opisu, który wymienia m.in. carskie wrota rzeźbione, mnóstwo obrazów i rzeźb. Życie jednak poświęciło cerkiew, z której uchowała się jedynie nawa i resztki wspaniałej niegdyś dzwonnicy.

Do Krzewicy nie ma po co jechać, choć katalog stwierdza, że jest tam cerkiew pounicka, zbudowana zapewne w 1 poł. XIX w., pełniąca rolę magazynu PGR. To nieprawda, cerkiew już nie istnieje, została rozebrana na kawałki i dla celów praktycznych.

Katalog okazuje się w wielu wypadkach nieaktualny. Ale jest to katalog bezcenny, bo uzmysławia przerażające tempo niszczenia zabytków drewnianej architektury w południowo-wschodniej części Lubelszyzny, gdzie inne zabytki — pałace, dwory — pojawiają się sporadycznie. Cerkiewki są tu w istocie głównymi znakami tradycji społeczno-kulturowej, dlatego wymagają szczególnie troskliwej opieki. Na wypalonej przez nacjonalistyczne bandy ziemi, przez długi czas leżącej odłogiem, powstało kilka wielkich państwowych gospodarstw rolnych, które poza kulturą upraw powinny chyba przyczynić się również do uprawiania kultury. Ratowanie owych znaków tradycji miałoby wówczas większe szanse powodzenia.

Mamy sporo cerkwi w dobrym stanie. Bełżec, Kornie, Hrebenne, Dyniska Stare, Jarczów w Tomaszowskiem, Budynin, Hulcze, Szpikołosy w Hrubieszowskiem — obiekty w tych miejscowościach nie budzą obawy, że runą nieoczekiwanie na ziemię. Nie znaczy to jednak, aby cerkiewki opuszczone i zaniedbane pozostawić na pastwę losu. Nikt zresztą o tym nie myśli, ale za sympatią do cerkiewek stoją bardzo ograniczone możliwości konkretnego działania w ich obronie. W obecnych warunkach kontrahenci ratowniczej sprawy mogą, co najwyżej, stosować półśrodki. A na to — prawem paradoksu — nas nie stać.

„Mamy sporo cerkwi w dobrym — jak ta, w Budyninie — stanie, ale..." Fot. Z. Zugaj

P.S.

W dniu ukończenia artykułu przeczytałem w prasie codziennej, że do Sądu Wojewódzkiego w Rzeszowie wpłynął akt oskarżenia przeciwko szajce złodziei, która w latach 1968-1969 grasowała na Rzeszowszczyźnie i Lubelszczyźnie, dokonując włamań do cerkwi i kaplic, kradnąc ikony, rzeźby i inne obiekty sztuki sakralnej. Łup sprzedawano w sklepach „Desy" i prywatnym nabywcom.

I.J.K.

Kamena str. 3

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wprzód nakryć
własnym sercem
jak gdyby drugim niebem
JAN POCIEŻ

Zapole

Nr 3 (15) 4 VII 1971 Rok V

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy – Ośrodek Lubelski przy ZW ZMW

Gustaw A. Łapszyński

wiersz witalny

I. Zapis
oto są błękitne ściany horyzontu o które wzrok opieram
i pułap dalekosiężny słońcem nad głową gorejący
oto jest powietrze do oddychania zamknięte w butli widnokręgu
– weń drzewa zanurzone rozpościerają się do lotu liści
– i ptaki wiszą na niewidzialnych drutach śpiewu

oto jest ziemia rąk
co zataczają wokół siebie kręgi siewu:
deszczem ziarna przechodzą przez krajobrazy znajome

jest jeszcze rzeka – wilgotna krew tętniąca w korzenie
i kubatura palonej cegły złożona na roślinnych brzegach

II. Zbliżenie
tu – uwikłany w swoje drzewo
od którego korzeni rozeszła zielność w pejzażu
gdzie drzew krocie wydźwignęło korony zielonego buszu –
idę ku wszystkim rękom otwartym jasną plażą dłoni
ku twarzom zapatrzonym w powracające ptaki tęsknych myśli
i jeśli w nich tkwi białe światło latarni oczu
i samotność tak wielka że zaludnia się pamięć
to poprzez powietrze palą znaczne ognie dorzucają płomień oka
do ogniskowej wzroku co złagodnieje pod znajomą ziemią tylko

jeżeli
wypełnieni dzieciństwem obracają kołowrót czasu
wiatr tożsamią z klawiaturą liści ptaki z kluczem nuty
gdy tak idą w pamięć mową ocalałą
– idą w ból radości

III. Poprzez siebie
bo wracać w siebie to znaczy: łąką wybiec z zawidnokręgów
drzewami zapamiętanymi przechodzić w coraz prędszą podróż
słońcem się toczyć przez dzień jasny i noc wyprzedzać
świtem lasu –

bo wędrować tak śpiesznie do ziemi zabłąkanej przed wzrokiem
jak ogromna rzeka płynąć w żyły opuszczonych dróg
to znaczy:
nieść ciało ptakami pamiętania gniazd – myślą lotną –

bo dojść –
to oznacza: przed ołtarzem drzewa hołdowniczo schylić wzrok
to oznacza: dzwon bijący w sobie do reszty rozdzwonić

IV. Dopis
taka jest ziemia – daleka i bliska –
(piszę ją znojnie równymi rzędami ziarna)

taka w niej rzeka modra że zbliża się niebo
(świecą tam srebrnołuskie konstelacje ryb)

i drzewa się stamtąd wspinają na palcach korzeni
(ich czuby owinięte są białymi turbanami chmur)

i dom jak ląd się wyłania w bezmiarze patrzenia
(czeremchą bielony staje się jasny od światła)
i
V. Chwila
o kobieta którą przemilczałem poza domem
ramionami otwiera widnokrąg najtkliwszy
– przychodzę zwieczorniały po jasność

a noc
gasi mi ziemię – niedopowiedzianą

Stefan Pawłowski

* * *

są ściany
słone jak morza
i ciche
jak wargi w żałobie
nad brzegiem łamania
gdzie noga odchodzi
a cień wraca zgarbiony

Dopóki jadą wozy

tak
jadą bez turkotu wozy
tylko
jakiś rytmiczny stuk
wydaje się
że niebo chce obalić
i spłoszyć ziemię

Tadeusz Kwiatkowski

Erotyk krężnicki

Joannie

w ogniu twoich warkoczy
jeszcze płonie jesień
strop dopalił się głuchy
pod krężnickim dachem
o zgiełku warg niewolnych
w pożodze uniesień
wmarzyłem moją miłość
w ciebie i we mnie

cmentarz ochłonął już z liści
łąka z pieszczot rosy
u jana górki piły
gadają ze ściętym drzewem
dokąd tym latem szedłem
w ciebie czy przy tobie
nie wiem

czas nieruchomych spełnień
deszczem się przewalił
bez sukni wszedłaś tak bliska
w moich warg ulewie
dokąd tym deszczem szedłem
w ciebie czy przy tobie
nie wiem

Waldemar Michalski

Urok

Jakże mozolnie rósł
ten warkocz czarnej ziemi
nim stanął krecią piramidą
miesiące wiatr przewiewał
szła przez łąki młoda
mirta w warkocz się wplotła
– – – – – – – – – –
w tatarkach ją szukali
bo na kopcu bosy ślad
wołanie
ale krecie oczy milczą
milczą
nim się ozwie znów o chmielu granie

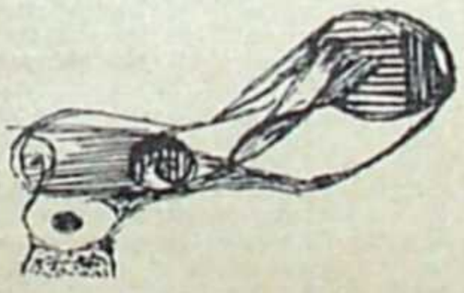

Romuald Falkiewicz

czerwona róża

Antkowi Platowskiemu

dłonie których już ból nie uratuje
szukają nerwowymi palcami powietrza
róża płonie jak preria
antylopy gonią oślepły czas
jeszcze minuta
jeszcze sekunda
zanosi się od rechotu wiatr
który niesie żrący ogień w domostwa serc

już nie myślisz
tylko po ciemku pędzisz
ulice wypchane duszne
zatwarzone
tak nie rośnie róża
nie błogosławi się w czerwień
kiedy obojętni dla siebie
umieramy na suchoty słów

na kanwie obraz Mieczysława Majewskiego „Płonąca róża"

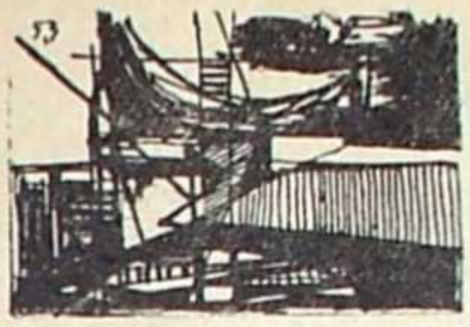

Krzysztof Zuchora

czeszącej się

powietrze rozgarniasz
słowo od słowa oddzielnie

nad wypukłym polem czołem
wznosi się stromo grzebień

las sypkie liście
zwija w jasne loki

przez środek jeziora
płynie strumień włosów

c i s z a
w obłym strąku pocisku
ziarenka prochu płoną

rozkołysała się gałąź wystrzału
. . . . . .

naraz dym przysłonił czoło
chłodnym zapachem wody

spokojna weszłaś w jezioro
w opiętej sukni bloder

srebrne ryby plusku
zatrzepotały u powiek

a cisza jak kamień
toczy kręgi po wodzie

„Zapole" nr 15 redagował
Jerzy Jedziniak.
Przerywniki
Dominik Opolski

Powrót

Jerzy Jedziniak

BAŁEM się kończyć to opowiadanie. Wczoraj po południu umarła Jagoda. Teraz szukałem znowu ciszy tego miasta, łagodnej i przytulnej jak sen, w którym widzi się wszystko wyraźnie, widzeniem nowym, zrodzonym odpoczynkiem.

Jeździłem jednym trolejbusem, potem nie pamiętam już który przywiózł mnie tutaj. Wysiadłem, bo było cicho i ciepło. Ciepło dostrzegałem obok bawiących się ptaków, takich samych jak tam, na początku Bieszczad.

Stałem rozkraczony na błyszczącej rosą łące, którą zbudziłem pocierając osełką srebrny księżyc kosy. Wtedy też tak samo bawiły się ptaki, skacząc po umarłej trawie, a słońce jak na stypie piło łapczywie rosę. Wracałem potem przez las pełen ptaków, zapachów, plam słońca i cieni, głową w koronach drzew, podziwiając swą zmęczoną małość.

Teraz nie było drzew, choć patrzyłem tak samo wysoko, nad ziemię cichą i ciepłą w tym mieście.

Nie chciałem wracać, bo żadne inne zakończenie niż to, które się stało, nie przychodziło mi do głowy. Bałem się mówić, by w ciszy jej zamkniętych powiek nie kłamać strachem. Właściwie to nawet dlatego uciekłem stamtąd, chociaż tam też była cisza, ale inna niż tutaj, pełna niedopowiedzeń.

Poszukałem kamienia, by usiąść.

Pierwsze gwiazdy odczytałem na niebie razem z łagodnym chłodem, który mnie ogarnął jak dobre słowo przyjaciela. Wiedziałem, że wrócę rano, gdy zrobi się ciepło.

Zbudziła mnie wiejska furmanka, której konie parskały raźno w mgłę. Furman nie spostrzegł mnie, byłem więc wdzięczny koniom za przebudzenie.

Wracałem. Jeśli powrót bez odpowiedzi może być powrotem prawdziwym. Jechałem znowu trolejbusem, choć jego tłok ugniatał mi pusty żołądek. Słońce budziło właśnie domy i zaułki miasta.

Do domu wszedłem najciszej. W ciszy spały wszystkie znane mi jego sprawy. Bałem się je zbudzić, choć czułem, że wczesne głosy sąsiadów powiedziały już wszystko. Zasłoniłem okno kocem, potem zamknąłem drzwi od zewnątrz.

Kiedy jechałem znowu tym pociągiem, który mnie tu przywiózł, zacząłem kończyć moje opowiadanie, ale już w innym domu. Domu, który zawsze będzie miał odsłonięte okna, a sąsiedzi nie zbudzą w nim nic, nawet gdy mnie nie będzie.

Wiedziałem o tym, gdy konduktor wykrył znaną mi przekupkę za jazdę bez biletu.

Dostrzegłem w oknie wagonu kontury znanego, które zostawiałem chyba bezpowrotnie. Byłem sam w przedziale i miałem dużo czasu. nie miałem jednak komu o tym powiedzieć. Wyjąłem więc papier i zacząłem pisać wszystko od początku.

Przypomniałem sobie pod koniec, że właściwie dużo piszę tak samo jak przedtem, jak zapomniane wyrazy twarzy, albo wszystkie zapachy lata.

Na stacji wyszedłem na piwo. Te same kufle poiły podróżnych. Dogoniłem iskry pociągu, było już ciemno. Pociąg przejeżdżał przez most i zobaczyłem strugę tej rzeki.

Najlepiej opowiem wszystko wieczorem, nad tą rzeką, wplątany w wikliny, jak wtedy.

Potem zabiorę ze sobą do nowego domu i zdążę wszystko opowiedzieć, zanim uczynią to sąsiedzi. Powiem prawdę o Jagodzie i zdążę wszystko wytłumaczyć. I nie będę odtąd zostawiał już nigdzie okłamanych, bo wszędzie kłamią i trzeba mieć cierpliwość, aby nie milczeć.

Kamena str. 4

Notujemy

26 kwietnia odbyło się w ZG ZMW posiedzenie Krajowej Rady KKMP. Przedmiotem obrad był referat W. Łowickiego „Polityka kulturalna PRL". Omówiono również pracę ośrodków w okresie 4 miesięcy, formy działalności w Dniach Oświaty, Książki i Prasy, organizację seminariów ogólnopolskich oraz problemy wydawnicze KKMP. W posiedzeniu Rady obok przewodniczących ośrodków wzięli udział przedstawiciele prasy: „Zarzewia", „Nowej Wsi", „Sztandaru Młodych" oraz PR „Muzyki i Aktualności".

• • •

W tegorocznych Dniach Oświaty, Książki i Prasy członkowie lubelskiego ośrodka KKMP odbyli ponad 30 spotkań w placówkach kulturalnych Lubelszczyzny. Wzięli w nich udział m. in. kol. kol.: J. Chłodnicki, R. Falkiewicz, W. Gutowski, J. Jedziniak, M. Kaczmarczyk, T. Kwiatkowski, S. Łukowski, K. Makuła-Trochimiuk, J. Małek, D. Opolski, R. Sęczawa, Z. Strzałkowski, S. Weremczuk, S. Żurek.

• • •

Mazowiecki ośrodek KKMP, któremu przewodniczy kol. Krzysztof Zuchora, zorganizował w dniach 7–9 maja doroczne seminarium literackie w Opinogórze. W trakcie seminarium wysłuchano referatów nt. problemów współczesnej literatury, omówiono formy pracy z młodymi pisarzami. Uczestnicy wzięli udział w turnieju „Jednego wiersza" oraz odbyli spotkania z czytelnikami.

• • •

W Lubelskim KMPiK 13 maja odbyli spotkania autorskie członkowie Koła Młodych przy lubelskim oddziale ZLP — M. Józefacka, S. Łukowski i M. Kawałko, a 14 maja członkowie lubelskiego ośrodka KKMP — J. Jedziniak, K. Makuła-Trochimiuk i M. Zenni.

• • •

W tegorocznej Studenckiej Wiośnie Teatralnej w Lublinie zadebiutował kol. Marek Zenni z Kraśnika sztuką pt. „Senator lecący i dwaj donatorzy". Prapremiera odbyła się 30 kwietnia w Akademickim Teatrze „Gong 2", gdzie była powtarzana również w maju.

• • •

W Klubie Międzyzakładowym „Bronowice" w Lublinie, w cyklu „prezentujemy młodych twórców Lublina", odbyły się wieczory autorskie kol. kol.: J. Jedziniaka, S. Łukowskiego, K. Makuły-Trochimiuk, W. Michalskiego, D. Opolskiego. W dniach 1–13 maja czynna tam była wystawa rysunku D. Opolskiego, który wygłosił prelekcję pt. „Związki poezji z plastyką".

• • •

16 maja w Uniwersytecie Ludowym ZMW w Gardzienicach odbyło się wspólne zebranie turnusu szkoleniowego z członkami lubelskiego ośrodka KKMP, którzy wysłuchali prelekcji prezesa lubelskiego oddziału ZLP — Z. Mikulskiego o Wietnamie. W godzinach popołudniowych członkowie KKMP przeprowadzili spotkania w okolicznych klubach.

• • •

W Tomaszowie Mazowieckim w dniach 28–30 maja odbyło się ogólnopolskie seminarium literackie pt. „Literatura wobec problemów urbanizacji i technicyzacji", którego organizatorami były Krajowa Rada i łódzki ośrodek KKMP „Wiadukt".

Uczestnicy wysłuchali referatów prof. A. Kłosowskiej z UŁ., doc. H. Andersa z PWSSP i W. Sadkowskiego ze „Współczesności". Odbyło się spotkanie z kierownikiem Wydziału Kultury KC PZPR tow. Jerzym Kwiatkiem. W tomaszowskim muzeum otwarto wystawę malarstwa i grafiki członków Galerii „Wiadukt", która była czynna do 15 czerwca. Na zakończenie seminarium młodzi pisarze z KKMP wzięli udział w kiermaszu książki, który odbył się w parku im. XX-lecia PRL w Tomaszowie Mazowieckim, stanowiąc końcowy akord Dni Oświaty, Książki i Prasy.

• • •

Z okazji zbliżających się „Dni Zielonej Góry", Wydział Kultury tamtejszego PMRN, Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry, oddział ZLP oraz redakcja „Nadodrza" ogłaszają po raz piąty KONKURS OTWARTY na wiersz o tematyce winobraniowej, adresując go do wszystkich bez względu na miejsce zamieszkania. Nie publikowane teksty, opatrzone godłem, należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu wraz z zaklejoną kopertą zawierającą nazwisko i adres autora, pod adresem: Redakcja „Nadodrza", Zielona Góra, ul. Żeromskiego 2, z dopiskiem „Konkurs na wiersz winobraniowy", w terminie do 31.VIII. br. Nagrody: I — 2500 zł, II — 2000 zł, III — 1500 zł oraz 3 wyróżnienia po 500 zł. Nagrodzone i wyróżnione wiersze publikowane będą w tzw. winobraniowym numerze „Nadodrza".

• •

22 i 23 maja w powiatach hrubieszowskim i zamojskim odbyła się „Biesiada literacka", której współorganizatorami obok WDK oraz lubelskich placówek kulturalnych była Krajowa Rada i lubelski ośrodek KKMP. Biesiada rozpoczęła się wizytą u ludowego poety Stanisława Buczyńskiego w Kotorowie k. Hrubieszowa, gdzie dr Jacek Kajtoch z UJ wygłosił referat „Sytuacja młodej literatury". Uczestnicy Biesiady — młodzi poeci KKMP-owscy z Warszawy, Wrocławia, Zielonej Góry, Rzeszowa i Lublina, obok dziennikarzy lubelskich i działaczy kultury, odbyli szereg spotkań w placówkach kulturalnych obu powiatów. W Hrubieszowie, w Klubie „Kozacki Róg", odbyła się zaimprowizowana „Noc jazzu i poezji". W PDK w Zamościu uczestnicy Biesiady wzięli udział w turnieju „Jednego wiersza", prezentując publiczności nagrodzone wiersze, z których wytypowano nagrodę publiczności. Jury, któremu przewodniczył red. Z. Mikulski, a jego członkami byli red. red.: J. Kajtoch i M. Podgórski, przyznało 3 równorzędne nagrody, które otrzymali: Gustaw Łapszyński z zielonogórskiego, T. Chudy z Warszawy, T. Kwiatkowski z Lublina, oraz 3 wyróżnień: K. Zuchora z Warszawy, E. Dyczek z Wrocławia, J. Jedziniak z Lublina, J. Szelę z rzeszowskiego i R. Falkiewicz z Lublina. Nagrodę publiczności otrzymał G. Łapszyński. Prezentujemy obok kilka nagrodzonych wierszy.

JeJ

Precz ze sloganem!

Dokończenie ze str. 1

dziesięcia mówiliśmy zawsze o ekonomice w gospodarce, głównie w przemyśle i rolnictwie. Od dwóch czy trzech lat mowa jest o ekonomice w służbie zdrowia czy oświacie. Ale taka dyscyplina jak ekonomika w kulturze nie istnieje nawet teoretycznie. Wąska grupa ludzi zajmuje się tym od bardzo niedawna i z amatorstwa, a naukowców w tej grupie można dosłownie policzyć na palcach. Stąd różna interpretacja tych samych pojęć, różne definicje, różne kierunki poszukiwań. Czasem nawet drastyczne, chociaż tylko pozornie, pytania w rodzaju: czy kultura jest częścią gospodarki, czy gospodarka jest częścią szeroko rozumianej kultury społeczeństwa?

Kapitalny problem polega na tym, że kulturę — to pojęcie też jest dość różnie rozumiane — postawiono u nas na tej samej płaszczyźnie co wszystkie inne działy gospodarki nieprodukcyjnej, ale na samym końcu. A na końcu z tego prostego powodu, że nie daje ona efektów, które dają się ująć w złotówkowych bilansach. Jeszcze pół biedy, gdy finansowcy podsumowują wpływy za bilety do teatrów czy opłaty telewizyjne. Ale wtedy okaże się, że wpływy bardzo często są mniejsze od wydatków, więc trzeba dać dotacje, czego ekonomiści i finansowcy zgodnie nie lubią. Stąd więc gdy z różnych względów trzeba robić kompresję wydatków inwestycyjnych czy budżetowych, pierwszą z reguły ofiarą jest dział kultury — „do której i tak się dopłaca, więc dopłacajmy mniej".

W wypadku radia i telewizji jest akurat odwrotnie — tyle, że wpływy z abonamentów wpływają do resortu łączności, a wydatki pokrywa się dotacją dla Komitetu do spraw Radia i Telewizji, który działa na prawach odrębnego resortu. W ten sposób z rachunku ekonomicznego zrobiono dwa budżety, w których przesunięcie złotówki z jednego działu od drugiego, a czasem nawet z paragrafu do paragrafu przekracza kompetencje ministra.

Tak więc kultura jako dział nieprodukcyjny, a w dodatku najczęściej domagający się dotacji pod różną postacią, nie była przychylnie traktowana przez grupę ekonomistów, która przez długie lata wywierała decydujący wpływ na podział dochodu narodowego. Żądali oni czysto finansowej rentowności kultury. Ta początkowa nieprawidłowość doprowadziła, by nie mówić o rzeczach pośrednich, do takich paradoksów, że słynni tekściarze czy śpiewający lub grający pod publiczkę odtwórcy zarabiali setki tysięcy złotych, a poważni twórcy z reguły musieli szukać stałej posady urzędniczej, by związać koniec z końcem.

Na szczęście sytuacja zmienia się dość szybko. Nie tyle, jeżeli chodzi o pieniądze, bo na ich wypracowanie trzeba jednak poczekać, ile o sposób rozumowania, co zdaje się zapowiadać lepsze czasy dla tej całej sfery działania, którą nazywamy kulturą. Sami ekonomiści coraz częściej dochodzą do wniosku, że obliczanie dochodu narodowego jedynie w dziedzinie wartości produkcji materialnej jest niesłuszne, zawężone — jeżeli nie skrzywione. Rewolucja naukowo-techniczna nie jest zawieszona w próżni, nie dzieje się sama w sobie. Tworzy ją żywy człowiek, jeżeli nie twórca, to w każdym razie konsument kultury. Ten, który słucha radia, ogląda telewizję, czyta książki i gazety, chodzi do teatru i kina itd. itd. Kultura to nie tylko rozrywka czy zabicie wolnego czasu, to przede wszystkim kształtowanie człowieka, nawet gdy sam obiekt kształtowania nie zdaje sobie z tego sprawy. Wbrew pozorom sprzężenie zwrotne między cywilizacją a rewolucją naukowo-techniczną nie jest wcale mniejsze, a w każdym razie niewiele mniejsze, niż między kulturą a rewolucją naukowo-techniczną. Rzecz tylko w tym, że dawny, narzucony sposób rozumowania o braku efektywnych wyników z efektywnych nakładów na kulturę głęboko utkwił w świadomości wielu ludzi. I nie będzie go łatwo przełamać. Uchwały najwyższych władz partyjnych i państwowych o odbudowie Zamku warszawskiego, budowie gmachów dla Biblioteki Narodowej czy utworzeniu Funduszu Rozwoju Plastyki, a także o poprawie warunków socjalno-bytowych, współtworzących kulturę pracy i odpoczynku — są konkretnymi, a przecież tylko pierwszymi posunięciami nowych władz, zmieniającymi w sposób zasadniczy ocenę nieprodukcyjnej sfery działań kultury.

W ostatecznym rachunku musi to doprowadzić do takich zmian w proporcjach podziału dochodu narodowego, aby wydatki na kulturę znalazły swój stały, raczej nawet rosnący wskaźnik zarówno w funduszu spożycia jak i w funduszu akumulacji. I aby jej wartość widniała również w dochodzie wytworzonym, co jest o tyle chociażby konieczne, by znów nikogo nie kusiło twierdzenie, że usługi niematerialne w dziedzinie kultury tylko pochłaniają środki, a nie dają konkretnych korzyści.

Jednak tu już na samym wstępie wyłonią się trudności, których przezwyciężenie będzie wymagało nie tylko wielkiego wysiłku, ale i czasu. Bo jaką wielkością, jakim wskaźnikiem zafiksować udział kultury w dochodzie narodowym? Chodzi tu przecież nie tylko o sumy złotówek, ale także o wartości społeczne, korzyści, których nie da się tak łatwo przeliczyć, chociaż są one niewątpliwe. Rozwikłanie tego problemu nie będzie łatwe, a dojście do jakiegokolwiek rozwiązania niewątpliwie zostanie poprzedzone zażartymi dyskusjami. Może nieco łatwiej będzie z wyznaczeniem wskaźnika udziału kultury w funduszach spożycia. Ale zaproponowany na sesji wskaźnik, obliczany w stosunku do nakładów na oświatę, np. we mnie budzi zasadniczy sprzeciw. Wyż demograficzny przeszedł już przez szkoły podstawowe, przechodzi przez średnie, przejdzie i przez wyższe. Istnieje więc możliwość, że w tej sytuacji nakłady na oświatę (a co innego są nakłady na naukę) mimo wzrostu „na głowę" globalnie będą mniejsze, może na takim samym poziomie. Oznaczałoby to progresywne zmniejszanie się nakładów na kulturę, podczas gdy powinno być akurat odwrotnie. Nie tylko dlatego, że trzeba odrobić zaległości, ale także dlatego, że ten wyż demograficzny po wchłonięciu nakładów na oświatę będzie przecież coraz bardziej chłonny na usługi kulturalne, co musi pociągnąć za sobą wzrost nakładów na produkcję tych usług. Nawet jeżeli będzie to konsumpcja bierna przez szklany czy płócienny ekran.

Nie bez kozery wspomniałem nieco wyżej o wartościach społecznych kultury. W naszych warunkach odgrywają one decydującą rolę. Jeżeli można się zgodzić na pewne złagodzenie kryteriów w dziedzinie twórczości, to przecież w żadnym wypadku nie w dziedzinie upowszechniania. Ale zaraz potem wyłania się pewna sprzeczność. Jeżeli przyjąć wyłącznie kryteria ekonomiczne, trzeba się zgodzić na koncentrację środków, zarówno w skali makro- jak i mikroregionów. Koncentracja to proste prawo ekonomiki. Ale gdy przyjąć kryteria społeczne, sprawa zaczyna się komplikować. Jeżeli określimy najpilniejsze potrzeby całego kraju, to przecież poszczególne regiony mogą mieć inne najpilniejsze potrzeby, a powiaty czy gromady jeszcze inne. Więc dekoncentracja. A równocześnie wiemy z praktyki, czym ta dekoncentracja grozi. To nie tylko rozproszenie środków. Jakże łatwo w takiej sytuacji powstają inwestycje, często rozpoczynane w dobrej intencji czynem społecznym, z którymi potem nie wiadomo co robić, bo albo brak środków na ich eksploatację merytoryczną i fizyczną, albo zainteresowanie środowiska po pewnym czasie mija. A więc złoty środek? Po pierwsze nikt nie wie, gdzie on się znajduje, po drugie wielu ludzi uważa, że metoda złotego środka jest najgorszą ze wszystkich możliwych metod. Można niby autorytatywnie odpowiedzieć, że ostatecznie chodzi o to, aby przy najlepszym wykorzystaniu środków osiągnąć możliwie najlepsze efekty, społeczne i ekonomiczne. Święta prawda, która jednak stała się już sloganem. Wszyscy przyklasną, tylko opinie, a także decyzje o najlepszym wykorzystaniu i najlepszych efektach będą bardzo różne.

Delegat SPATIF-u, Szczepkowski, po uważnym przysłuchiwaniu się obradom pierwszego dnia, powiedział w drugim mniej więcej tak. Teatr zawodowy przeżywa kryzys polegający na tym, że idea zespołowości, idea wspólnego języka, wspólnej pasji, wspólnego celu, przestała być cechą przedsiębiorstwa usługowego jakim jest instytucja, nazywana jeszcze teatrem. Zespół teatru musi być zespołem naturalnego doboru, a nie zespołem jedynych żywicieli rodzin, pobierających pieniądze od jedynego żywiciela — państwa. Mamy bardzo zdolnych ludzi, którzy jednak w takiej sytuacji nie chcą kierować teatrami. Będzie musiało dojść do ponownego tworzenia zespołów. Stanie się to bolesne dla tych, którzy nie zmieszczą się w nowych zespołach, to będą ci, którzy kiedyś na siłę wdarli się w szeroko otwarte ramiona Melpomeny.

Nie znam na tyle sytuacji w teatrach, aby potwierdzić lub dezawuować opinię sekretarza SPATIF-u. Myślę jednak, że jest w tym trochę dużo kropel goryczy. Ale nawet jeżeli liczba kropel jest przedawkowana, to przecież sprawa nie może ograniczyć się tylko do teatrów. I do osób lub zespołów tworzących lub odtwarzających jakieś fakty z dziedziny kultury. Musi objąć także ludzi administrujących kulturą. Aby zaprojektować jakąś budowlę, a więc stworzyć w przestrzeni bryłę, spełniającą określoną funkcję, trzeba mieć wyższe wykształcenie, a także jeszcze dodatkowe, specjalne uprawnienia. Nie wystarczy dobra wola i talent. A jak często godzimy się, z różnych zresztą względów, aby ludzie, którzy mają kształtować kulturę innych, którzy mają w nich budzić zaangażowanie do wszystkiego, co robią — nie posiadali określonych kwalifikacji?

Ale wracajmy do problemów związanych bezpośrednio z ekonomiką. W dyskusji reprezentant jednego z największych w kraju powiatów zapytywał: jak rada narodowa może oddziaływać na kulturę, jeżeli w powiecie wydaje się na ten cel łącznie około 7 milionów złotych, ale ona sama ma do dyspozycji tylko 2.5 miliona? Koordynacja? To brzmi bardzo pięknie, ale spróbujcie koordynować, gdy chodzi o cudze pieniądze...

Z tych względów, przyznajmy szczerze: głównie finansowych, narodziła się idea powoływania rad czy komitetów rozwoju kultury i sztuki. Zbyt wcześnie jeszcze na ocenę ich działalności. Jeżeli jednak policzyć pieniądze, które udało się skoordynować, jak dotychczas utknęliśmy na marnych dziesiątkach tysięcy. Ten sam los spotkał i wojewódzki fundusz rozwoju kultury, dotychczas żywiący się raczej ogryzkami.

Ale nie narzekajmy, nie my jedni mamy kłopoty z ekonomiką w kulturze. W NRD już w latach 1967 i 1968 zorganizowano dwie konferencje krajowe na temat ekonomicznych (i organizacyjnych) zagadnień w kulturze. Wszyscy wychodzili ze słusznego założenia, że kulturę należy traktować jako integralną część społecznego systemu socjalizmu. Pierwsza konferencja zakończyła się raczej rozczarowaniem, druga też nie przyniosła konkretnych wyników. Zbyt rozbieżne były nie tylko punkty wyjścia, ale i definicje, opinie, przewidywania, hierarchia podawanych potrzeb.

W grudniu 1969 roku w Bratysławie odbyła się już międzynarodowa konferencja, która skupiła się wokół trzech podstawowych problemów: 1) jakie modele rozwoju stosunków ekonomicznych są najdopowiedniejsze dla kultury na jej obecnym etapie i które z nich są optymalne z punktu widzenia jej dalszego rozwoju, 2) jakie są determinanty i jaka jest ich funkcja w tworzeniu procesu ekonomicznego w obrębie kultury, na ile jest on zdolny do samodzielnego tworzenia wartości i warunków rozwoju (samofinansowania), 3) jaka jest rzeczywista funkcja regulacyjna instrumentów ekonomicznych w kulturze (ceny, honoraria, wynagrodzenia, zyski, dotacje)? uczestników lubelskiej sesji informował o tym referat mgr. Wacława Wieckiego. Jak widać problematyka niezwykle szeroka. A właśnie dlatego, że rozważania prowadzono na płaszczyźnie teoretycznej, pragnąc dopracować się jakichś ogólnych wskazań, metod działania, ustalenia pewnych pojęć, dyskusja była zażarta i też przyniosła tylko częściowe rezultaty.

Sesja lubelska również nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Przede wszystkim dlatego, że niemal każdy spodziewał się od niej czego innego. Na sali był raczej aktyw powiatowy, tymczasem poruszane problemy dotyczyły najczęściej zagadnień, leżących w sferze działania szczebli znacznie wyższego stopnia. Po wtóre — tematyka była zbyt szeroka: ekonomika, organizacja i koordynacja, humanizacja pracy. Nic dziwnego, że w dyskusji zabrały głos wszystkiego trzy osoby, nie licząc jednozdaniowej uwagi z sali, że sesja obejmowała ekonomikę upowszechnienia odbioru kultury, a nie jej twórczość i odtwórczość. Co zresztą tylko w części było prawdą. Na końcu przy ogólnym aplauzie uchwalono szereg wniosków. Chociaż sam byłem członkiem komisji wnioskowej, do dzisiaj nie jestem przekonany, że te wnioski będą realizowane. Bo niby przez kogo? Sesja przecież nie była niczyim zwierzchnikiem, a nawet pani naczelnik Wydziału Kultury po powrocie do biura będzie się musiała kierować nie tyle wnioskami, za którymi sama głosowała, ile obowiązującymi ją przepisami, które z tymi wnioskami nie żyją w najlepszej zgodzie.

Doszedłem jednak do wniosku, że taka sytuacja jest tylko z pozoru nieco paradoksalna, a w gruncie rzeczy normalna. Albowiem omawiane na sesji zagadnienia są czymś zupełnie nowym i dużo jeszcze upłynie czasu, zanim przenikną do świadomości wielu ludzi, a jeszcze więcej czasu, zanim po długich dyskusjach przybiorą konkretne kształty w formie obowiązujących przepisów i oficjalnej ich interpretacji. To właśnie jest normalne i bez porównania lepsze od decyzji, podejmowanych dawniej nie na podstawie dyskusji, lecz autorytatywnych decyzji. I dlatego Lubelskiemu Oddziałowi TNOiK za zorganizowanie tej sesji należy się podziękowanie, z dołączoną do podziękowania nadzieją, że wkrótce doczekamy się następnej, już bardziej ukierunkowanej sesji.

Trzeba jeszcze dodać, że problemami ekonomiki w kulturze od pewnego czasu zajmuje się także Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, które zorganizowało nawet studium ekonomiczne dla pracowników kultury. Powodzenie studium niespodziewane: 800 zgłoszeń. Mówi się coraz częściej o utworzeniu studium podyplomowego, a nawet doktoranckiego. Specjaliści już przygotowują książki. Przy Ministerstwie Kultury i Sztuki ma powstać ośrodek naukowo-badawczy, poświęcony ekonomice i organizacji kultury.

Temu wszystkiemu sprzyja nie tylko ogólna atmosfera pogrudniowa, ale i konkretne decyzje najwyższych władz, o których wspominałem wyżej, a do których dołączyć chyba trzeba jeszcze jedną: o modernizacji i rozbudowie bazy poligraficznej. Są więc wszystkie dane, że powiedzenie o najlepszym wykorzystaniu środków celem osiągnięcia najlepszych efektów — przestanie być sloganem.

Jerzy Dostatni

Poza nekrolog

A NI się wierzyć nie chce, że to już rok od śmierci Konrada Bielskiego. Tyle Go jeszcze jest. Nie potrzeba nastawiać się na nutę wspomnień, wystarczy potrącić rozmowę o lubelskie sprawy literackie i charakterologiczne ostatnich lat pięćdziesięciolecia, by postać autora „Dytyrambu szatańskiego" przypomniała o sobie. I już się wie. Już się pamięta. Nie potrzeba nawet tego „A Konrad..."

Oto idzie przeciążony tuszą, o posturze co nieco niesymetrycznej, krokiem jakby ukośnym, przystając nie tylko ze zmęczenia, ale również dla zaakcentowania fragmentu rozmowy. Jeśli ktoś w Lublinie pozwolił sobie stanąć na trotuarze bez względu na kontekst ruchu ulicznego, by z aktualnym rozmówcą tym lepiej dobrać się do poruszanej kwestii, był to z pewnością Konrad. Te dialogii perypatetyczne, za Jego sprawą, bogate w pamięć klasyki i poezji, pełne szczegółów anegdotycznych i ujmującego zapanbractwa, ze wszystkim, co ciekawe...

Wiedział wiele, wiele pamiętał. Nieważny jest jednak sam magazyn informacji, którym dysponował bezbłędnie. Ważny jest sens ich użytkowania zgodny z właściwościami Colas-Breugnonskiego charakteru i typem światopoglądu wyedukowanego nie z zadrukowanych kart, ale z pierwiastków życia. To Bielski powtarzał, że młodość, miłość i poezja są synonimami, to Bielskiego exlibris przedstawia szalę z książkami przeważoną przez szalę z kieliszkiem. A że w tej sprawie wyrysowany był udział diabła... Satanizm jest manierą niemal obowiązkową dla kogoś, w kogo poezji światoburczy element pełnił rolę nie tyle filozoficznego wyrazu, co środka artystycznej ekspresji. Zresztą szatan Bielskiego to przede wszystkim wesoły aranżer wydarzeń o bachicznym pokroju.

I widzieć było tę postać lubelskiego Fischera, kiedy majestatycznym krokiem zmierzał do stołu, na którym zastawione były potrawy nie tylko z boefów, ale z poezji, dobrego dowcipu, z uczestnictwa w twórczym dorobku ludzkiej kultury. Sympozjon. Miał go również przy swoim regale z książkami, gdzie siebie i gościa raczył wyjątkami utworów, jak próbkami znakomitego alkoholu.

Jeśli ktoś zna smak szperania wśród starych wydarzeń, jak w szufladzie z przypadkowymi pamiątkami, cóż za satysfakcję miał konfrontować je z „Konradem", który świadkował wszystkim lubelskim faktom na przestrzeni półwiekowej, który z pamięci mógłby napisać niemal lubelską „kronikę towarzyską" swego czasu. Przecież „Most nad czasem" w znacznym stopniu tę funkcję spełnia, a pisany był w oparciu o minimalny materiał dokumentarny, jako że autor przesadną skłonnością do zbieractwa się nie odznaczał.

Już nie pamiętam, kto wpadł do Soplicowa, by odetchnąć ojczyzną. Wiem, że nadyszeć się Lublinem można było przede wszystkim w tych powolnych, nasyconych rozmową peregrynacjach z Konradem, a zawsze miało się pewność, że prędzej czy później przejdziemy obok strofy Czechowicza, która jest już niemal fragmentem architektonicznej panoramy tego miasta. Stare kamienice, pozostałe jeszcze gdzie niegdzie słupy ogłoszeń, fin de siecle-owe gzymsy i ornamenty bram, jeszcze klekot dorożki jakby wywołanej seansem retrospekcji... Kto teraz przejmuje lutnię po Bekwarku lubelskiej anegdoty? Kto rozgawędzi się na temat przygody „Reflektora", który może nie był pierwszoplanowym ewenementem na tle krajowego życia literackiego, ale który ewokowany con amore, jak zawsze we wspomnieniach, przybierał koloryt zjawiska niezwykłego, bo ożywionego pamięcią młodości? Przyłapuję się jednak na tym, że są to — przynajmniej dla mnie — pytania li tylko okolicznościowe, ponieważ w samym charakterze naszego miasta, kiedy je oświetli promień letniego słońca i kiedy zima roznuje swą śnieżną baśń, zawsze zostanie obecność człowieka, który wierszy już nie pisał, ale spojrzenie poetyckie zachował do końca. Przejść się ulicą Narutowicza. Każdy, kto Go znał, kto znał trasę Jego wędrówek, zawsze ma to wrażenie, że lada moment pojawi się ta powoli sunąca postać już z oddali jowialnym gestem narzucająca urok ciekawej rozmowy. I błędem rzeczywistości jest, że scena ta nie dochodzi do skutku.

Muzeum Czechowicza przekazał swą niezbyt obszerną liczebnie, ale z dużą znajomością i bibliofilskim pietyzmem skompletowaną bibliotekę. Młodym ludziom, którzy Go znali — umiłowanie poezji i szacunek dla rzetelnej podbudowy kultury humanistycznej. A już bez udziału swoich zamierzeń — pamięć tych wszystkich wydarzeń, w których uczestniczył i które ożywiał niebywałym talentem towarzyskim, zainteresowaniem dla otoczenia, umiejętnością bycia. Śmierć jest zjawiskiem naturalnym, bo biologicznym... Ale w osobie Konrada Bielskiego jest coś, co przechodzi poza granicę nekrologu.

Na nie długo przed pamiętnym dniem czerwcowym ubiegłego roku przeglądając tom Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej natknąłem się na krótki wiersz, który nie omieszkałem zaprezentować Konradowi:

Na zimnej grobowej płycie
oparła się igła słowiczego głosu.
O dziwo! Płyta kręży
i gra fokstrot „Życie"
pośród nocy i ros.

Z uznaniem przyjął. Nie wiedziałem, jak szybko dotknie Go sytuacja w wierszu opisana. Dotknęła. Ale jego prawda też.

Zygmunt Mikulski

Kamena str. 5

Wolnoć Tomku w campingowym domku?

Dokończenie ze str. 1

Najlepszym przykładem może być Białe Włodawskie. Niczym parch otaczają je wokół domki campingowe. Małe, prymitywne, rozsypujące się, i najnowsze, murowane, tynkowane, zelektryfikowane, niektóre nawet z wodą bieżącą, wyposażone w drogie meble. I jedne i drugie są drogie w budowie (częstokroć metr kwadratowy kosztuje więcej niż w blokach mieszkalnych).

Nie dają bezpośredniego kontaktu z przyrodą, bo takiego nie dostarczy miasteczko campingowe. Nie zapewniają, mimo wysokich kosztów, żadnych luksusów, nawet te najdroższe. Ani im się równać z warunkami w normalnym pensjonacie z jadalnią, świetlicą i biblioteką w jednym budynku, umożliwiającym interesujące organizowanie czasu w dniach niepogody. Konserwacja bieżąca domków jest droższa niż dużych pawilonów czy też obiektów kilkupoziomowych, sezon zaś trwa w nich znacznie krócej. Przy tym wszystkim ten rodzaj zabudowy doprowadza do dewastowania terenu. Gdyby zamiast murowania domków wokół Białego Włodawskiego postawiono kilkanaście 2—3 kondygnacyjnych domów wczasowych, powstałoby eleganckie letnisko, wypoczywać można by w nim od wczesnej wiosny do późnej jesieni, korzystać nie tylko z kąpieli w jeziorze, lecz i różnorakich rozrywek kulturalnych. W dodatku skupienie tych pensjonatów w jednym miejscu pozwoliłoby na pozostawienie całej reszty brzegów i obrzeża jeziora w stanie niemal dziewiczym czy mało zmienionym. Uchroniłoby je to od dewastacji, zapewniło zachowanie pewnych walorów pejzażowych.

Strugi atramentu przelano na wyjaśnienie genezy tego zjawiska. Złożyły się na nią sobiepaństwo dyrektorów i działaczy poszczególnych przedsiębiorstw, żądnych posiadania **własnego** ośrodka wypoczynkowego, pozorna taniość budowy i eksploatacji (zaopatrzenie załatwi w czynie społecznym dział transportu, kuchnię poprowadzi w lipcu pani Basia, a w sierpniu pani Ola), możliwość budowania etapami (w tym roku 5 domków, w przyszłym 5 itd), dążenie do osiągnięcia doraźnych celów bez spoglądania w dalszą przyszłość, brak wyobraźni u gospodarzy terenu, brak akcji koordynacyjnej itd. itd. Zjawisko jest ogólnokrajowe, występuje od lat bez mała piętnastu; jednakże, o ile w innych rejonach Polski minęło swe apogeum, u nas występuje nadal w całej jaskrawości.

Problem ten poruszaliśmy na łamach „Kameny" przed czterema laty. Bez wyraźnego skutku. W październiku 1967 roku lubelskie oddziały Towarzystwa Urbanistów Polskich i Stowarzyszenia Architektów Polskich zorganizowały sesję naukową na temat zagospodarowania województwa lubelskiego dla celów turystyki i wypoczynku. Współudział wzięły: Wojewódzka Pracownia Urbanistyczna, Wojewódzka Pracownia Planów Regionalnych oraz Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej, Turystyki i Wypoczynku. Specjaliści z całej Polski zawiezieni nad Białe Włodawskie łapali się ze zdumieniem i grozą za głowy. Jak można było dopuścić do takiego bezsensu? To karygodne! Jeden z wniosków sesji zalecał zaniechanie budowy rozległych kolonii małych domków i skoncentrowanie się na trwałym budownictwie turystyczno-wypoczynkowym. Wymaga ono wprawdzie większych zabiegów, konieczne jest wybranie jednego inwestora reprezentującego interesy wszystkich udziałowców, trzeba zrezygnować z ciągotek do posiadania własnego ośrodka, w którym „wolnoć Tomku", ale za to jest ono bez porównania efektowniejsze.

Rezultaty nie były większe, niż krytyka na łamach „Kameny", czy też inne głosy podnoszone publicznie. W tymże roku 1967 Wojewódzka Rada Narodowa w Gdańsku wydała nakaz zlikwidowania na podległym sobie odcinku wybrzeża Bałtyku 100 kolonii (to nie omyłka: nie 100 domków, lecz 100 kolonii) złożonych z małych domków, których **właścicielom skończył się okres dzierżawy. Kto nie zastosował się do tego, doznał przykrej niespodzianki: zamówione przez WRN buldożery po określonym terminie rozwaliły domki, a tereny te wynajęto inwestorom, zobowiązującym się do wzniesienia obiektów stałych.** Podobne praktyki zastosowano i gdzie indziej. W Augustowie zdemontować musieli swe domki tacy potentaci jak ZMS i FSO „Zerań". Ta ostatnia opierała się, odwoływała do najwyższych czynników, na szczęście bez skutku. W końcu FSO ugięła się i postawiła trzy dwupiętrowe budynki, dziś wykorzystywane już przez wiele miesięcy w roku. Okazało się, że i zimą można wypocząć nad jeziorem i w lesie.

W tym samym czasie w województwie lubelskim wzniesiono wiele dalszych kolonii małych domków, nieraz nieźle wyposażonych, lecz nie odpowiadających potrzebom współczesnego człowieka. Nad Zagłęboczem, jednym z najpiękniejszych jezior naszego pojezierza, pojawiły się murowane domki, budowane szeregowo po 4 obok siebie, co niby miało być bardziej nowoczesne, a w rzeczywistości w niczym nie zmieniło sytuacji.

Tak więc przez całe lata włożyliśmy w województwie lubelskim dziesiątki (jeśli nie setki) milionów złotych w prowizorkę i półprowizorkę. Nie zbudowaliśmy jednak ani jednego ośrodka o standardzie europejskim. Postulaty urbanistów, ekonomistów i działaczy ochrony przyrody spotykają się z twardym „nie" zakładów pracy, które są niemal jedynymi inwestorami. Więc groźny rak coraz bardziej opłata jeziora. Co roku spotykamy nowe ogrodzenia terenów nadbrzeżnych, zmuszające nas, zwykłych turystów lub urlopowiczów do obchodzenia ich, oddalania się od brzegów. Ten turystyczny rozbiór Polski jest w gruncie rzeczy nielegalny i szkodliwy społecznie, a więc powinien być karany. Jeziora są własnością społeczną i nikt nie ma prawa wchodzić z ogrodzeniem aż do wody. Zagospodarowanie plaży pociąga za sobą koszta, toteż instytucja, która dokonała tego, może nie pozwolić osobom obcym na wypoczywanie na tym odcinku, wysyłając je na plaże ogólnodostępne czy też dzikie. Nie wolno jej jednakże zamknąć przejścia nad jeziorem. Niestety, ani wokół Białego Włodawskiego, ani wokół Firleja nie można przejść swobodnie. Drogę zastępują nam płoty.

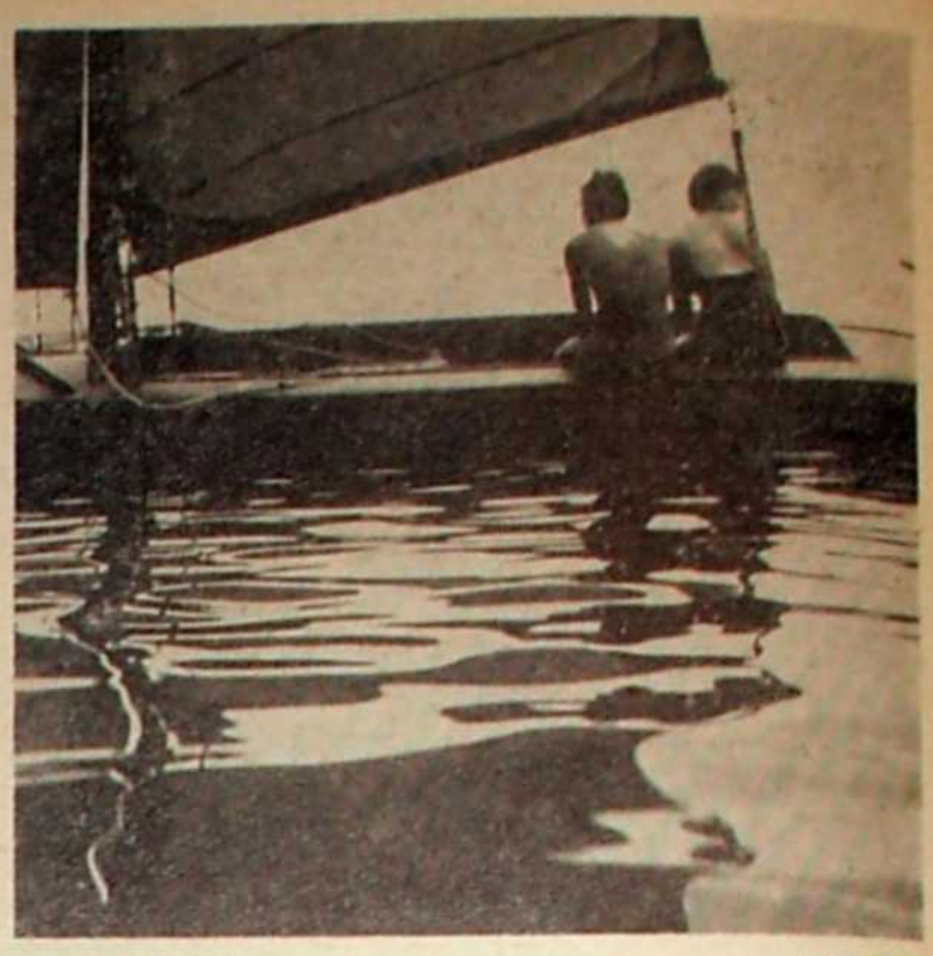

Z cyklu — Woda II

Fot. Z. Zugaj

Aby oddać prawdę trzeba powiedzieć, iż wielu posiadaczy domków postawiło przy nich obiekty gastronomiczne o charakterze trwałym. Niektóre są bardzo udane architektonicznie. Część jednak oddalono zbytnio od jeziora, jak np. restaurację w Firleju czy kawiarnię nad Zagłęboczem — z okien ich prawie nie widać jeziora. Gdyby stały tuż nad wodą, jak klub-kawiarnia ZMS nad Bialskim sosnowickim (ośrodek jest zresztą brzydki i prymitywny) czy „Rusałka" nad Białym Włodawskim, samo posiedzenie przy kawie, nawet przy kiepskiej pogodzie może mieć walory wypoczynkowe. Większym mankamentem jest jednak niedostępność szeregu zakładowych placówek gastronomicznych dla osób postronnych. Od dawna mówi się, że jeśli ktoś ma ośrodek zakładowy dla np. 200 osób, jego machina kuchenna winna być obliczona na wydanie w niedzielę przynajmniej 250 obiadów. Postulat ten pozostaje nadal postulatem. Lublinianin, który w niedzielę wybiera się nad jezioro, musi ciągnąć ze sobą żywność na cały dzień i termos z herbatą, gdyż inaczej grozi mu głodówka.

Mimo istnienia planów zagospodarowania turystycznego Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego, rzeczywistość wydana jest na żywioł. Każdy może wjechać samochodem nad każde jezioro, dojechać do tego miejsca, do którego się da i biwakować gdzie zechce.

Każdy może gdzie chce palić ogniska, rzucać śmiecie, nastawiać na całą moc radioodbiorniki, hałasować ile sił w płucach. Nie wolno tylko wejść na teren ogrodzony, bo wtedy mogą przegonić gospodarze, i nie wolno kąpać się w miejscu nie wyznaczonym do tego, bo wtedy można narazić się na mandat milicyjny.

Taka całkowita samowola dobra była może w okresie wędrówki ludów, kiedy ludzi było wielokrotnie mniej, a zasoby przyrody wielokrotnie bogatsze. Dziś masowy ruch turystyczny musi być odpowiednio kanalizowany, by nie zniszczył otaczającego nas środowiska. Trzeba będzie lat całych, by naprawić szkody powstałe wskutek złej gospodarki turystycznej nad Białym Włodawskim, Firlejem i Bialskim sosnowickim. Nikt jednak do tego się nie zabiera. Przeciwnie. Szkodliwym procesom ludzkiej działalności poddane są obecnie Piaseczno i Zagłębocze. Już zabieramy się do pustoszenia brzegów Rogóźna, Krasnego i Białego sosnowickiego, a nawet rezerwatu nad Czarnym sosnowickim. Gdzie będą wypoczywali lublinianie za lat 15, 20 i 30? O tym zdaje się prawie nikt nie myśli. A w każdym razie nie daje tego po sobie poznać.

Romuald Wiśniewski

Jak marnuje się szanse

Dokończenie ze str. 1

zać i samym artystom, i przybywającym z różnych stron świata gościom festiwalowym. Jest wreszcie miastem bez tradycji jazzowych, co ma swoją dobrą stronę o tyle, że właśnie dlatego można by tutaj jazz rozpropagować i na tym gruncie go „zaszczepić". Tak jak z Warszawy promieniuje „Jazz Jamboree", jak z Wrocławia — „Jazz nad Odrą", tak na całą Polskę wschodnią mogłyby z Lublina promieniować Spotkania Wokalistów Jazzowych.

Każda nowa impreza ma to do siebie, że musi się odpowiednio „rozkręcić". Potrzeba na to i czasu, i sporo wysiłku osób bezpośrednio i nawet pośrednio w nią zaangażowanych. Dobre wyniki nie rodzą się na kamieniu, trzeba na nie solidnie zapracować. Nic więc dziwnego, że ubiegłoroczne narodziny lubelskiej imprezy jazzowej również nie przebiegały bezboleśnie. Na powodzeniu odbił się przede wszystkim brak „sławy". Nikt z zaproszonych wykonawców dotąd o podobnej imprezie nie słyszał — bo i słyszeć nie mógł — niechętnie więc przyjmowano zaproszenia, a często w ostatniej chwili rezygnowano z udziału. I nawet w dniu konferencji prasowej, „za pięć minut dwunasta", musiano w związku z tym, dla ratowania honoru imprezy, przemianować ją z Międzynarodowego Festiwalu Wokalistów Jazzowych na Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych. Jakże by inaczej, skoro ostatecznie okazało się, że z zagranicznych gości przybyła do Lublina tylko wokalistka czechosłowacka — Eva Olmerova, oraz Węgierka, Zsusa Kosa. Nie dopisali także rodacy. Ostatecznie, do „spotkań" odbywających się w studenckiej „Chatce Żaka" stanęli — obok wymienionych już pań — Marianna Wróblewska, której akompaniowało Trio Mieczysława Kosza, Wojciech Skowroński, Marian Zacharewicz, Andrzej Rosiewicz z Asocjacją „Hagaw" oraz świeżo powstała warszawska grupa bluesowa „Stodoła". Nie umniejszając wartości artystycznej produkcji występujących osób, trudno powstrzymać się od stwierdzenia, że Spotkania przedstawiały się nadar skromnie. Ratowano je zorganizowaniem w hali WOSTiW tzw. „panoramy muzycznej", w której wystąpili: Maryla Rodowicz, szwedzki piosenkarz John Rode, „Grupa ABC" Andrzeja Nebeskiego oraz „Dżamble" z Andrzejem Zauchą. Nie miało to jednak nic wspólnego z jazzem.

Ewa Wanat z zespołu NOVI Singers

Fot. Lucjan Demidowski

Nie mniejszy brak zainteresowania okazały różne lubelskie instytucje i urzędy, które zaproszono do współuczestniczenia w organizowaniu imprezy i przejęciu nad nią opieki. Oczywiście, chętnie zgłaszano swój „akces", przysyłano przedstawicieli na zebrania organizacyjne, ale z konkretną pomocą nikt się jakoś nie kwapił. Niewiele też zainteresowania całą sprawą okazała lubelska prasa, która nie stworzyła wokół Festiwalu odpowiedniej atmosfery. Któryś tam kolejny raz powtórzyła się sytuacja wcale dla nas nie nowa: mając przed sobą bardzo interesującą propozycję, wszyscy czekali ostrożnie na boczku „co też z tego wyniknie". Jak wyniknie bomba, to myśmy się zaangażowali, jak klapa kompletna — byliśmy przewidujący.

Ostateczny wynik był „trójkowy", z zapowiedzią jednak trójki z plusem lub nawet czwórki w roku przyszłym. Impreza nie splajtowała i miała szanse dalszego, dobrego rozwoju. Niestety, nie okazała się strzałem w dziesiątkę, wiązał się z nią element kolejnego ryzyka. A od ryzyka to my z daleka... Ja się nawet dziwię, że w tej sytuacji lubelski oddział PSJ podjął się pracy nad zorganizowaniem tegorocznych Spotkań. Ostatecznie oni ryzykowali najbardziej. Stało się jednak. Już późną jesienią 1970 roku przyjechał do Lublina prezes Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego Jan Byrczek i przeprowadził z władzami kultury PWRN i PMRN rozmowy na temat przyszłych Spotkań Wokalistów Jazzowych. Rozmowy przebiegały w „przyjaznej i życzliwej atmosferze". Zgodzono się, że impreza jest pożyteczna i w pełni zasługująca na poparcie. Wstawiono ją do kalendarium Dni Lublina, mających się odbywać na początku czerwca i nawet zaliczono do „imprez wiodących" owych Dni. Prezes Byrczek nie odwiedził innych instytucji i urzędów, po ubiegłorocznych doświadczeniach Stowarzyszenie wolało się z nimi nie wiązać.

Prace organizacyjne rozpoczęto już w styczniu, a w lutym 1971 r. został powołany sekretariat Spotkań, w którego skład weszli także przedstawiciele warszawskich władz PSJ. W ciągu lutego i marca ostatecznie załatwiono sprawę miejsca, gdzie będą odbywały się Spotkania: dwa koncerty konkursowe w „Chatce Żaka" oraz koncert finałowy w muszli koncertowej w parku miejskim. Równocześnie trwały prace nad przygotowaniem programu Spotkań, w którym obok nazwisk wykonawców poczesne miejsce zajmowały wiadomości o Lublinie. Konferowano z potencjalnymi polskimi uczestnikami-wokalistami, rozesłano informacje o lubelskiej imprezie do stu kilkudziesięciu klubów jazzowych na całym świecie, za pośrednictwem PAGART-u załatwiano przyjazd do Lublina wybitnych wokalistów zagranicznych. Na miejscu należało załatwiać sprawy pozwolenia na koncerty, obsługę techniczną, opiekę ze strony władz porządkowych, bilety, afisze, zaproszenia. Trzeba było zapewnić w lubelskich hotelach noclegi dla co najmniej stu czterdziestu osób.

Jedną z najważniejszych rzeczy były, oczywiście, finanse. Nie było mowy o tym, aby impreza przyniosła jakikolwiek zysk. Miasto dało bezpłatnie muszlę koncertową i klub „Relaks". Wydział Kultury PWRN obiecał pomoc finansową. Wstępny kosztorys imprezy zamykał się sumą 400 tys. złotych, z doświadczenia wiedziano jednak, że koszty przekroczą pół miliona. Dla ratowania kasy postanowiono zorganizować wielki festyn na stadionie „Lublinianki" z występami osławionego „Wesołego Autobusu". „Wesoły Autobus" miał ratować ambitną imprezę, ale — o paradoksie! — impresario onegoż kręcił podobno z niezadowoleniem głową na wieść, że

Kamena str. 6

Konspiracyjne pisarstwo ludowe

Zdzisław Szeląg

SFERA zjawisk literackich, którymi chcę się zająć, wchodzi w zakres pojęcia „literatura ludowa". Uwaga ta nie miałaby istotnego znaczenia gdyby nie fakt, że termin ten używany jest dość dowolnie. Folkloryści od czasów Oskara Kolberga odnoszą go do anonimowej, nie powiązanej z nazwiskiem twórczości ludowej w postaci pieśni, opowiadań, przysłów, zagadek, gawęd, baśni. Środowisko naukowo-literackie zaś terminem tym określa indywidualną twórczość ludową. Nie wchodząc w spory terminologiczne przyjmiemy tu za Z. Bednorzem („Ludowe żniwo literackie", Wrocław 1968) sugestię, aby indywidualną twórczość określać terminem „pisarstwo ludowe". Kryteria i metody badań tej dziedziny pisarstwa ustalili K. L. Koniński i S. Pigoń, chociaż niektóre z ich sądów budzą dziś zastrzeżenia. Ogólnie rzecz biorąc za decydujące kryterium zaliczania utworów indywidualnych twórców do pisarstwa ludowego należy uważać naturalny związek ze środowiskiem wiejskim, robotniczo-zawodowym oraz niezawodowość tworzenia.

Dzieje pisarstwa ludowego są bogate. Istotne ogniwo w nim stanowi okres okupacji. Badania nad literaturą krajową czasów wojny i okupacji w ostatnich latach znacznie się ożywiły. Wyrazem doceniania tego kierunku badań było powołanie w 1960 roku Podkomisji do Badań nad Literaturą Krajową 1939—1945 przy Komisji Historyczno-Literackiej PAN w Krakowie, której przewodniczy doc. dr Stanisław Sierotwiński. Pisarstwo ludowe w pracach tej Komisji znalazło się w ramach problematyki całości literatury konspiracyjnej. Wydaje się jednak, że zachodzi konieczność powołania specjalnego zespołu, który zająłby się pisarstwem ludowym tego okresu.

Poznanie zasięgu, charakteru, tematyki, funkcji, kształtu artystycznego pisarstwa ludowego nie jest sprawą obojętną. Stanowi ono przecież integralną część historii Ruchu Oporu.

Pisarze ludowi w okresie wojny i okupacji skupiali się przede wszystkim wokół ośrodków ideowo-społecznych i politycznych. Stąd, jak się wydaje, zasadnicza produkcja literacka twórców ludowych drukowana była m. in. w prasie bechowskiej, rzadziej w pismach innych ugrupowań politycznych, czy też w oddzielnych drukach zwartych. Dotarcie do tych źródeł ułatwiają bibliografie w opracowaniu Lucjana Dobroszyckiego, W. Chojnackiego, A. Przygońskiego, Z. Hirsza.

Prasa ludowa nie tylko drukowała informacje polityczne, ale często i teksty poetyckie. Co ważniejsze, ukazywały się też pisma poświęcone literaturze. Zamieszczały one artykuły, utwory pisane wierszem i prozą, eseje. Niektóre z nich ogłaszały nawet konkursy poetyckie. W 1944 roku np. konkursy takie ogłosiły redakcje: „Orlich Ciosów" (nr 20), „Wyzwolenia" (nr 28), „Wieści" (nr 22).

Pisarze ludowi już w czasie okupacji usiłowali zorganizować związek twórców ludowych. Wtedy to J. N. Kłosowski napisał i uzgodnił z komendantem IV okręgu (Lublin) BCH Janem Pośniakiem tekst „Apelu do poetów i pisarzy ludowych". Czytamy w nim: *Ta wieś, która była niegdyś jeno źródłem natchnienia rodzimej literatury i sztuki, dziś sama stanęła do pracy, by własnymi siłami, chłopską, często do pióra nie nawykłą dłonią pisać kronikę polskiego cierpienia, dzieje martyrologii narodu i dzieje okrutnej walki, walki na śmierć i życie o wolną Ojczyznę, o Polskę Ludową.*

Ogłoszenie apelu uznane zostało za początek Związku Pisarzy i Poetów Ludowych Lubelszczyzny. Organem jego był miesięcznik „Wieś Tworząca". Na łamach jego dwóch numerów opublikowano 19 utworów poetyckich.

Niektórzy twórcy ludowi swoje utwory publikowali w centralnej prasie konspiracyjnej. Tak np. Emil Dziedzic, działacz PPR, swój „Marsz Gwardii Ludowej" opublikował w „Walce Młodych" z 5 IV 1943 roku.

Niektóre utwory poetów ludowych znalazły się w antologiach poezji okupacyjnej, albo w zbiorkach pieśni partyzanckich. Teksty piosenek Michała Basy są np. w zbiorku „Partyzanckim szlakiem" (1944). Nic dziwnego. Walce zbrojnej oddziałów partyzanckich często towarzyszyła twórczość ludowa, w której, jak się wydaje, na czoło wysunęła się forma piosenki. Publikowane po wojnie pamiętniki i wspomnienia wskazują, że poszczególne oddziały, zwykle w oparciu o znane melodie, tworzyły własne piosenki. Teksty ich spopularyzowały dość liczne antologie, które, niestety, nie podają źródła i filologicznego komentarza, a jeśli — to nierzadko błędnie. Stąd wokół pieśni partyzanckiej narosło sporo legendy.

Uchwycenie bibliograficzne plonu tej twórczości stanowi pierwsze i najważniejsze zadanie historyków pisarstwa ludowego. Planowych wysiłków jednak w tym kierunku właściwie dotąd nie podjęto. Nic więc dziwnego, że dotychczas nie posiadamy prawie w ogóle opracowań tego problemu. Najważniejszym przedsięwzięciem jest opracowana przez A. Aleksandrowicz-Ulrich i Z. J. Hirsza antologia poezji pt. „Chłopski znak" (Lublin 1969). Daje ona ogólną informację o ludowej poezji okupacyjnej i jej autorach pochodzących z Lubelszczyzny. Niewątpliwie zapoznała ona czytelników z charakterem tej twórczości, przyczyniła się do zwiększenia zainteresowania jej problematyką. Wydawnictwo to jednak nie spełnia wszystkich wymagań, jakie stawiają badania historycznoliterackie.

Sporządzenie bibliografii twórczości ludowej natrafia na liczne trudności. Utwory drukowane były, ze zrozumiałych względów, anonimowo, lub pod pseudonimami. Rozszyfrowanie ich to największa trudność, przed jaką staje każdy badacz. Wykonanie tej pracy nie będzie możliwe bez pomocy społeczeństwa oraz bez przestudiowania ogromnej literatury wspomnieniowej i pamiętnikarskiej. Sięgnąć też trzeba do materiałów archiwalnych różnych organizacji politycznych, które działały w czasie okupacji. Rozproszenie tych materiałów niewątpliwie utrudnia badania.

Dokończenie na str. 11

---

na afiszach i planszach reklamowych mają się znaleźć emblematy Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego. To by mogło „zawalić" cały festyn. Ostatecznie zgodził się na pozostawienie na niektórych planszach wizerunku trąbki, ale litery „PSJ" musiały zniknąć. Przystępowano do Spotkań prawie bez grosza przy duszy, modląc się do Boga i Wicherka o pogodę. Deszcz mógł przynieść całkowitą katastrofę finansową. Wcześniej jeszcze, po długich deliberacjach, Wydział Kultury PWRN zgodził się wyasygnować na potrzeby „wiodącej imprezy" około stu tysięcy złotych. Na trzy tygodnie przed Spotkaniami suma ta skurczyła się o dziesięć tysięcy; co więcej, udzielono jej organizatorom w formie „pożyczki". Na kilka dni przed pierwszym koncertem wśród organizatorów powstał popłoch: żadna z instytucji kulturalnych, do których się zwracano, nie chciała wypożyczyć fortepianu. Na szczęście w graciarni teatru „Gong 2" znalazł się zdezelowany instrument bez nóg, który musiano poddać kompletnemu remontowi. Nie wiadomo jak by przebiegały Spotkania bez owego „znaleziska".

Aż dziw, że przy tym wszystkim odbywające się w dniach 4—6 czerwca Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazzowych wypadły nad wyraz dobrze. W koncertach eliminacyjnych i w niepunktowanych, osobnych recitalach, wzięła udział czołówka polskich wokalistów jazzowych. Śpiewali między innymi: Ewa Bem, Ewa Sadowska, Marianna Wróblewska, Wanda Warska, Wojciech Skowroński, Andrzej Dąbrowski. Rewelacyjnie wypadł ponad godzinny występ „NOVI Singers", z ogromnym aplauzem przyjmowano produkcje słynnej już w Polsce grupy wokalnej „Bemibek". Nie mniej atrakcyjny był recital Wandy Warskiej. Wokalistom akompaniowały: grupa organowa Krzysztofa Sadowskiego, Trio Mieczysława Kosza, Trio Tomasza Ochalskiego, Blues Trio Wojciecha Skowrońskiego, zespół Andrzeja Kurylewicza. W tym roku nie zawiedli również goście zagraniczni. O randze lubelskich Spotkań świadczy przede wszystkim występ światowej sławy wokalistki jazzowej, Afrykanki Terri Quaye, przedstawicielki Wielkiej Brytanii. W wywiadzie udzielonym dziennikarzom powiedziała ona m. in.: „W Anglii nie urządza się żadnych festiwali wokalistów jazzowych. Podziwu godny jest zatem zamysł tego rodzaju festiwalu. To bardzo cenna inicjatywa". Podobnie wyrażali się o Lubelskich Spotkaniach Wokalistów Jazzowych czarna wokalistka z Holandii, jedna z najbardziej cenionych pieśniarek w dziedzinie muzyki jazzowej, soul i bluesa — Etta Cameron, oraz murzyński wokalista Jinks Jenkins. Poza nimi z gości zagranicznych występowali Węgrzy: Tomas Berki i Peter Zsolnay, Rosjanin — Władimir Czałyj i międzynarodowe trio instrumentalne Moseholma.

W koncertach eliminacyjnych uczestniczyło 21 wokalistów i 2 grupy wokalne. Jury pod przewodnictwem Wandy Warskiej przyznało I miejsce ex aequo Ewie Sadowskiej i grupie „Bemibek". II miejsca nie przyznano, natomiast III nagrodę zdobył Wojciech Skowroński. On też otrzymał nagrodę dziennikarzy akredytowanych przy Spotkaniach. Wyróżniono czworo wokalistów: Węgra, Tomasa Berki, Polaków — Jerzego Wawrzyniaka, Mariannę Wróblewską i Lucynę Owsińską z łódzkiej grupy wokalnej „Pro Contra". Nagroda specjalna jury przyznana została warszawiance, Marii Głuchowskiej.

Spotkania zgromadziły dużą liczbę obserwatorów, samych dziennikarzy przybyło ponad trzydziestu, wśród nich dziennikarze z Czechosłowacji. Będą miały prawdopodobnie bardzo dobrą prasę w kraju i za granicą, natomiast z pewnością niewiele pochlebnych uwag doczeka się w publikacjach sam Lublin. Spotkania Wokalistów Jazzowych, chyba najlepsza, najbardziej interesująca i najbardziej ambitna impreza Dni Lublina, zostały przez odnośne czynniki kulturalne potraktowane co najmniej z beztroskim lekceważeniem. Należy do dobrych obyczajów, aby imprezy, podczas których gości się ludzi spoza granic miasta czy województwa, ktoś do tego powołany otwierał lub zamykał. Żeby powiedział kilka słów sugerujących, iż zauważono trud włożony w organizację imprezy, by powitał przybyłych lub pożegnał wyjeżdżających. Był, a jakże, taki punkt wydrukowany w „Układzie Imprez LSWJ". Brzmiał on: „godz. 14.00 — Powitanie uczestników, jury, dziennikarzy i obserwatorów przez Władze Miejskie Lublina i władze PSJ. Godz. 15.00 — Konferencja prasowa w Klubie Relaks". Jak widać, organizatorzy nie chcieli zabierać władzom miejskim cennego czasu na fatygowanie się aż do Chatki Żaka. Postanowiono rzecz całą załatwić skromnie, kameralnie, krótko, w położonym w centrum miasta „Relaksie". Ale o oznaczonej porze z zapowiadanych władz nie pojawił się dosłownie nikt. Po półgodzinnym, żenującym oczekiwaniu, rozpoczęto konferencję prasową. Nikt też nie uznał za stosowne zamknąć imprezy w muszli koncertowej, kończącej Lubelskie Spotkania Wokalistów Jazowych, imprezy odbywającej się, nawiasem mówiąc, przy przepełnionej widowni, przy ogromnym aplauzie publiczności.

Informując o tym wszystkim, boję się już wspomnieć, że jest w zwyczaju, aby w podobnych okolicznościach wręczano przybyłym skromne upominki, które kosztują grosze, a każą miło wspominać gościnne środowisko i stanowią jeden z bodźców do podjęcia decyzji o odwiedzeniu miasta przy następnej sposobności.

Kończąc, zadaję sobie pytanie, jakimi właściwie względami ma się kierować Polskie Stowarzyszenie Jazzowe, organizując przyszłoroczne Spotkania właśnie w Lublinie. Może na zasadzie przekory: „wy nas lekceważycie, a my się nie damy?" Ale istnieje także inna możliwość: że następne Spotkania Wokalistów Jazzowych zostaną po prostu zorganizowane w innym mieście wojewódzkim. Tak wiele środowisk kulturalnych w kraju pochwaliłoby się chętnie tego rodzaju imprezą...

Mirosław Derecki

Ulice Starego Lublina

Ul. Szambelańska („Szambelanka")

Fot. autor

WEDŁUG dawnych architektów ulice należało budować wąskie i kręte. Stwarzało to bowiem dogodne warunki do obrony, gdyż w ciasnych zaułkach łatwiej było stawić opór nieprzyjacielowi. Zasadę tę stosowano również podczas budowy dawnego Lublina, gdzie ograniczenia przestrzenne wynikały także ze szczupłości terenu zamkniętego w obrębie murów obronnych.

Występująca tu asymetria ulic odbiegających od typowego, szachownicowego układu, nie wynikała z braku planu, lecz z konfiguracji terenu. Średniowieczne budownictwo nie wymagało, by ulice składały się z regularnych bloków. Budowniczowie jednak musieli liczyć się z ich funkcją. Z tego względu np. ulica Grodzka otrzymała zmienną szerokość wynoszącą ok. 9 m. Prowadząca bezpośrednio do kościoła ul. Złota — również 9 m. Natomiast Archidiakońska, Jezuicka i Olejna tylko 6 — 7 m. Ulice: Szambelańska i Jezuicka zataczały łuki, gdyż taki był przebieg obronnych murów i wałów. Z drobiazgowo przemyślanego rozplanowania arterii miejskich można nawet było wyciągnąć pewne wnioski dotyczące dawnego ustroju społecznego oraz układu czynników rządzących.

Ośrodkiem administracyjnym był ratusz. Centralną oś stanowiła ulica Bramowa i Grodzka — nazwana tak, ponieważ prowadziła do zamku-grodu.

Ludność korzystająca z prawa magdeburskiego, podlegała bezpośrednio władzom miejskim, żyła za murami własnym życiem. Tętniło ono szczególnie w XV i XVI w. podczas różnych uroczystości, zjazdów, sejmów, kadencji Trybunału, hucznych festynów i zabaw. Wtedy przybywały do Lublina znakomite osoby z Polski i obcych krajów, posłowie Litwy i Korony, hetmani, wodzowie, władcy. Również w czasie słynnych jarmarków zjawiali się bogaci kupcy cudzoziemscy, a wśród wesołej gawiedzi nie brak było również muzykantów, guślarzy, rybałtów.

A kiedy zapadła noc, w Krakowskiej i Grodzkiej Bramie spuszczono ciężkie żelazne brony i podniesiono zwodzone mosty, ustawał ruch na ulicach, cichł zgiełk (...), a nurt życia odpływał z placów i ulic do mieszkań prywatnych i gospód (...).

Wówczas na przestworze niebieskie wypływał władca nocy i lejąc z góry potoki srebra, sprawiał przegląd miasta. Blade światło romantycznego patrona samotników, zakochanych i poetów w zastygłej ciszy na czerwonych dachówkach domów i szmaragdowej emalii, miedzianą blachą krytych baszt i wieżyczek kościołów stwarzało barwy o niewypowiedzianym pięknie. Pełzając po zakamarkach ciasnych uliczek, gotyckich i renesansowych krużganków klasztorów, kamienic bogatych kupców, dworków i pałaców szlachty, rodzić przywidzeń wyczarowywał namiąt kształtów, nieprzeczuwanych wyobraźnią budowniczych.

Posągi kupców, rycerzy, pachołków, lwów, smoków i różnych potworów zdobiące attyki, jak urzeczone, zstąpiwszy z czół kamienic wokoło ratusza, gdzie ich fantazja artystów postawiła, wydłużone nienaturalnie zajmowały place, ulice i płaszczyzny ścian z przeciwka. Ten korowód zwidów w ciszy niezmąconej śnił swój odwieczny sen. (L. Zalewski — „Z epoki renesansu i baroku)".

Gdy mijała noc — życie płynęło na ulicach jak dawniej. Po dniach radości i wesela następowały niespodzianie dni klęski, pożary i zgliszcza... Niekiedy całe ulice przeobrażały się w zwaliska gruzu i popiołu. Tak było 7 maja 1575 roku. Spłonęło wówczas prawie całe miasto z wyjątkiem kościoła św. Michała i niewielu sąsiednich domów.

Klęskę przyniósł również „potop" w latach 1655—1657. Zniszczył on nieodwracalnie całą świetność trybunalskiego grodu. Ulice, zaniedbane i brudne, przedstawiały smutny widok. Władze miasta starały się wprawdzie o względny porządek i higienę, ale nie przyniosło to pożądanego rezultatu. Najwięcej cuchnących nieczystości wyrzucali rzeźnicy z jatek na wał i na drogę publiczną, nie licząc się ze skutkami takiego postępowania.

Jeden z wydanych w roku 1651 dekretów brzmiał:

Żaden się nie będzie ważył gnojów przed domy, za domy, na drogi, w rynsztoki publiczne wyrzucać, a ktoby inaczej czynił ma być karany... „(Acta consularia 1647—1652).

Inną plagą był zły stan bruków. Na reperację brak było funduszów. Potwierdził to sam król Władysław IV w roku 1647:

Miasto Lublin nie może podołać wydatkom na brukowanie ulic (...) przeważnie z powodu istnienia w mieście bardzo znacznej ilości domów szlacheckich, podległych innej jurysdykcji i wolnych od ciężarów miejskich...

Uprzywilejowana szlachta nie martwiła się, że miasto tonie w błocie i chyli się ku ruinie.

Najbardziej zaniedbana, nosząca charakter średniowiecznego zaułka, ulica Szambelańska była kręta, wąska i ponura. Ostrożni przechodnie omijali ją z daleka, zwłaszcza nocną porą. W dzień do jej zakamarków nie docierało nigdy słońce. Niekiedy zapuszczali się tam rysownicy i malarze, by ją szkicować lub utrwalać na płótnie. Linie jej zabudowy odpowiadały położeniu i kierunkowi dawnych murów obronnych. W XIX wieku istniał na rogu tej ulicy oraz Bramowej na I piętrze lokal gastronomiczny „Pod Białym Orłem".

Po przeciwnej stronie ulicy Bramowej stała dziwna kamieniczka-cyklop o jednym oknie, zwana „Czarną Dziurą". Za tą „Dziurą" i kamienicą narożną ciągnęła się wzdłuż dawnych murów miejskich ulica Jezuicka. Zasłużyła ona później na nazwę „Teatralnej", gdy w XIX wieku działał Teatr Zimowy, a aktorzy dramatyczni mieli tam przy rogu ul. Trynitarskiej i Jezuickiej swój ulubiony lokal pod firmą Łuszczewskiego.

Przez bramę domu przy ul. Grodzkiej 14 wchodzi się obecnie na ulicę Ku Farze. W przewodniku „Województwo Lubelskie" jest o niej taka interesująca informacja:

W budynku przy ul. Grodzkiej 16 na osi dawnej sieni — w parterze — widzimy szeroko i wysoko przeskleplony otwór bramny. Jest to dobrze widoczny ślad istniejącej tu do roku 1795 uliczki pieszej prowadzącej z placu Rybnego na Plac Farny i stąd nazwa jej „ku Farze". Właściciele kamienicy chcąc ją rozbudować zostawili szerokie, przykryte sklepieniem kolebkowym przejście w parterze, a zabudowali zwarcie górę na całej szerokości. Dziś, gdy staniemy na przeciw bramy wejściowej, widzimy w głębi wąskie przejście dawnej uliczki wetkniętej między ściany długich oficyn.

Dom nr 5 przy ul. Archidiakońskiej zwał się kiedyś „Małym Ratuszkiem". Pełnił on funkcję ratusza w czasie, gdy właściwy budynek w rynku zajmował sąd trybunalski.

Ulica Różana słynęła dawniej z czynnej tam mennicy. Od połowy XV w. bito w niej szelągi, a później miedziane i srebrne półgroszki. Gdy minęła świetność — zmieniono nazwę ulicy na Olejną. Nie miała ona już więcej odegrać ważniejszej roli w życiu Starego Miasta. Pozostała zaniedbana i zapomniana, jak wiele innych.

Mieczysław Targoński

Kamena str. 7

Nie robić z lalki rekwizytu

Maria Bechczyc-Rudnicka

ACZKOLWIEK jestem od lat wiernym przyjacielem Teatru Lalki i Aktora im. J. Ch. Andersena, zainicjowane przez niego Spotkania Teatrów Lalek Polski Wschodniej jakoś uchodziły dotąd mojej uwagi. Nie byłam na dwóch pierwszych — lubelskich, ani na kolejnych — w Przemyślu, Białymstoku, Kielcach. Toteż uczestnicząc niedawno temu w Spotkaniach już szóstych, które wróciły tym razem do punktu wyjścia — do Lublina, nie rozporządzałam kryteriami pozwalającymi na stwierdzenie jakiegoś crescendo lub, broń Boże, diminuendo w rozwoju przedsięwzięcia. Mogę jedynie wyznać, iż charakter owej imprezy nieco mnie zaskoczył.

Prawdopodobnie — jako outsidera.

Rzecz bowiem w tym, że VI Spotkaniom Teatrów Lalek Polski Wschodniej towarzyszył Ogólnopolski Zjazd Kierowników Artystycznych i Przedstawicieli Sekcji Lalkowej SPATIF-u, co niewątpliwie podniosło rangę imprezy, ale zarazem spowodowało pewne dysproporcje w czasie przeznaczonym na poszczególne pozycje programu.

Po prostu, jak na moje wyczucie niezawodowca — to spotkanie teatrów lalek okazało się bardziej dyskursywne niż teatralne.

Sądzę — zastrzegam się znów: są to sądy laickie — otóż sądzę, że redukując dyskusje ściśle administracyjno-finansowe do jednej, jako też do jednej — polemiki artystycznej, „zmieszczono" by się w trzech dniach zamiast czterech bez szkody dla przewidywanych efektów.

Nie od dzisiaj znam talent organizatorski dyrektora Ochmańskiego, tedy trudno mi obronić się przed niepokojącym pytaniem, czy aby dość widoczne „watowanie" programu VI Spotkań dyskusjami nie było naturalnym odruchem inicjatora imprezy, który dostrzega, że znalazła się ona na niebezpiecznym zakręcie.

Bo, powiedzmy to w końcu otwarcie, po przyjacielsku: sama esencja teatralna VI Spotkań zaprezentowała się raczej niepokaźnie.

Gdzie są przyczyny tego faktu?

Trzeba, zdaje się, szukać ich znacznie głębiej niż by się chciało. Tkwią one chyba w zarysowującym się ostatnio kryzysie sztuki lalkarskiej, pogłębianym bez wątpienia przez szerzącą się epidemicznie tendencję do wyprowadzania animatorów przed parawan.

Epidemii uległy, niestety, wszystkie cztery teatry wschodniej „unii kulturalnej": Państwowy Teatr Lalek w Białymstoku, „Kubuś" — w Kielcach, „Kacperek" — w Rzeszowie, PTLiA — w Lublinie.

Najmniej groźny wydaje się stan teatrzyku lubelskiego. Pokazane przez niego „Misie Ptysie" Zbigniewa Poprawskiego (o których zresztą pisałam pozytywnie bezpośrednio po premierze) — zamieniają zwyczajnie całą salę, ze sceną włącznie, na wielki plac zabaw, dzięki czemu bezpośredni kontakt aktora z widzami staje się do pewnego stopnia uzasadniony.

Gorzej przedstawia się sprawa w białostockiej inscenizacji sztuczki Gyuli Urbana „Detektyw Lis prowadzi śledztwo". Koncepcja inscenizatorska Joanny Piekarskiej zdecydowanie zepchnęła lalki na szary koniec. Ruchy niezbyt atrakcyjnie zrobionej rodziny kaczej zostały potraktowane dość zdawkowo, a najbardziej aktywny element: postacie Lisa, Susła, Jamnika — przydzielono aktorom odzianym w kombinezony (również nieszczególne w sensie plastycznym). Rezultat — zaprzepaszczenie szansy wykazania się ekspresją rdzennie lalkarską, techniką animatorską.

Całkiem już źle się dzieje w kieleckim „Kubusiu". Zapowiedź jego programu była obiecująca: Bolesław Leśmian — „Zaklęty rumak". Wolno było oczekiwać, że powieje ze sceny jakiś „fluid" poezji. Spektakl okazał się kompletnym jej zaprzeczeniem, z chwilą gdy niemal całe gremium animatorów wyległo „na deski". Laleczki zostały dotkliwie zmajoryzowane, a przecie jedna z nich (Księżniczka — Katarzyna Orzeszek) była przeurocza w każdym drgnieniu! Słusznie zauważył potem ktoś w czasie dyskusji, że reżyser skrzywdził inne członkinie zespołu odbierając im lalki. W istocie, pozbawione możliwości pełnienia funkcji, w których się wyspecjalizowały, naraziły się one na śmieszność wykonywaniem na proscenium rzekomo „wschodnich" ewolucji tanecznych, profanując niejako „Szecherezadę" Rimskiego-Korsakowa.

Państwowy Teatr Lalki i Aktora w Poznaniu. C. K. Norwid — „Wanda" Grodny (Jan Harenda)

Fot. G. Wyszomirska

Słowem, co tu owijać w bawełnę: cały pokaz „Kubusia" urągał elementarnym wymogom estetycznym. Rzetelność krytyka nie pozwala na przemilczenie takich niedorzeczności, proszę wziąć pod uwagę, jak dalece spektakl tego typu staje się szkodliwy zwłaszcza wówczas, gdy ma powodzenie u widzów niewyrobionych.

Znacznie lepsze wyniki uzyskał rzeszowski „Kacperek" w inscenizacji „Hefajstosa" Świrszczyńskiej, interpretowanego z konsekwentnie nowoczesnym „przybliżeniem" treści. Wymownie zagrało w tle „miasto" Leokadii Serafinowicz, ładnie brzmiała muzyka Zbigniewa Bujarskiego, przywodząca na pamięć „rytmy Zorry" niedawno słyszanego greckiego zespołu „Hellen", ale...

Ale czy wypada, sugerując się nazwiskami, opromienionymi częstym gdzie indziej sukcesem, nie dostrzegać, że omawiana incenizacja w gruncie rzeczy sprowadza „Kacperka" na manowce? Dwie figurynki à la Tanagra, które ujawnieni animatorzy niosą przed sobą niczym lampki oliwne, nie zastąpią wyrugowanych ze spektaklu lalek. A już całkiem chybioną ich namiastką są szpetne popiersia gipsowe, sunące w niezdarnych podrygach nad-parawanem (przypomniało mi się w owej godzinie zwątpień niesławnej pamięci paryskie muzeum kopii rzeźb arcydzielnych — Trocadéro, na szczęście, ponoć, już zlikwidowane). Trudno, przy całej sympatii dla młodego zespołu animatorów „Kacperka" nie mogę przyklasnąć ich amatorskiemu produkowaniu się w charakterze aktorów dramatycznych na scenie przeznaczonej dla lalek. Znakomici zaś skądinąd twórcy niefortunnej koncepcji inscenizacyjnej „Hefajstosa" są niewątpliwie ponad sukces d'estime, dlatego też pozwoliłam sobie w tym wypadku na absolutną szczerość.

Wydaje mi się, że zasadnicza sprawa ryzykownych, że tak powiem, dewiacji spektakli lalkowych w stronę „żywego planu" nie została dostatecznie przeanalizowana w dyskusjach VI Spotkań. Przytłoczyła ją scholastyczna nieco polemika na temat „znaku" teatralnego, który jest właściwie modną nazwą dla pojęć dawno wiadomych.

Z tym większym uznaniem należy wspomnieć, chociażby pokrótce, o wspaniałym gościnnym występie poznańskiego „Marcinka" w „Wandzie" Norwida (reżyseria: Wojciech Wieczorkiewicz, praca nad słowem: Krystyna Mazur, scenografia: Leokadia Serafinowicz, muzyka: Zbigniew Łoziński). Nie znalazłbyś superlatywu zbyt wygórowanego dla oceny tego spektaklu, najtrafniejsze będzie jedno słowo: wydarzenie. Nie tylko w teatrze lalkarskim. Trudno sobie wyobrazić lepszą inscenizację „Wandy" na jakiejkolwiek scenie. Dotąd na pewno nigdzie nie było równej.

Pięknie w drewnie rzeźbione figury-prymitywy zróżnicowanej wielkości (dyskretne zastosowanie sugestii Bread and Puppet Company), proste płachty na łańcuchach, poręczne przy zmianach obrazów, płynne przesuwanie (jakby tasowanie) zespołów „ludzkich" na dwóch poziomach, światło romantyczne, ekspresyjne nasilenie modlitewne chórów kościelnych, żywe ręce wznoszące się spod sceny w geście błagalnym, „słowa ku płakaniu" mówione przejmująco i wiele jeszcze innych elementów, których nie sposób wymienić w zwięzłym omówieniu — wszystko składa się na nastrój tego widowiska, odtwarzający adekwatnie Norwidową aurę prawieku.

Tutaj również zastąpiono dwie postacie lalkowe „żywymi" aktorami, lecz w danym wypadku odbiera się ten wtręt do kompozycji lalkowej, jak organicznie potrzebny dysonans w nowoczesnym utworze muzycznym. Postać Wandy zresztą (gra ją Maria Korzeniowska), jakby wyrastająca z prastarego pnia, mająca w sobie coś ze swojskiej dziady, harmonizuje najzupełniej ze swym naturalnym, „drzewianym" środowiskiem. Kwiestionowano raczej stosowność Rytygera z krwi i kości (Ryszard Olszak), lecz może chodziłoby po prostu o inne obsadzenie roli, a może jedynie o retusz w kostiumie (Norwid wszak mówi o Germanach „Co szczyt noszą drzewny, pas ze stali").

W sumie, mimo wymienionych usterek, należy życzyć artystom-lalkarzom wielu dalszych spotkań ich teatrów, dla dokonania niezbędnych konfrontacji osiągnięć, dla pogłębienia analizy problemów nurtujących przedstawicieli tej bogatej w chlubne tradycje sztuki.

IGNACY BARANOWSKI lekarz z Lublina

Kazimiera Gawarecka

Dr med. Ignacy Baranowski

(fot. z lat 90-tych XIX w.)

LUBLIN był miastem, w którym ujrzało światło dzienne wielu znakomitych ludzi. Jednym z nich był zasłużony lekarz, prof. Ignacy Baranowski. Tablica pamiątkowa, wmurowana nad wejściem domu w Rynku nr 17, została ufundowana przez społeczeństwo z inicjatywy Lubelskiego Towarzystwa Lekarskieggo w celu uczczenia znakomitego rodaka. Tablica nosi napis: „W tym domu urodził się Ignacy Baranowski, znakomity lekarz, profesor Szkoły Głównej Uniwersytetu Warszawskiego, filantrop i obywatel gorąco miłujący Ojczyznę (26.V.1833 — 24.II. 1919)" Odsłonięto ją w czerwcu 1920 r.

Ignacy Baranowski cieszył się wielką popularnością wśród najszerszych warstw społeczeństwa. Dowodem tego jest m. in. fakt, iż na ręce ówczesnego prezesa Tow. Lekarskiego dziewięciu chłopów ze wsi Pożóg (powiat Puławy) złożyło na ufundowanie tablicy 35 koron i pismo, w którym donoszą, że znali zmarłego osobiście i ubolewają z powodu jego śmierci. W parę tygodni później 44 chłopów także z powiatu puławskiego na ten sam cel przysłało 300 marek jako wyraz wdzięczności za pomoc, okazaną przez niego wywiezionemu przed 26 laty za sprawy polityczne Mateuszowi Sobiechowi.

Urodził się w Lublinie, tu ukończył gimnazjum, następnie wyjechał do Dorpatu (końmi, bo kolei żelaznej z Warszawy do Dorpatu wówczas jeszcze nie było). W 1858 r. otrzymał tam dyplom doktora medycyny po obronie rozprawy z zakresu okulistyki. Celem dalszego doskonalenia się w zawodzie zwiedził Klinikę Dietla w Krakowie, potem udał się do Wiednia, gdzie przez kilka miesięcy uzupełniał swoją wiedzę lekarską. W Paryżu zaś uzupełniał wiedzę praktyczną. Wróciwszy do Warszawy został asystentem prof. Tytusa Chałubińskiego w Klinice Chorób Wewnętrznych Akademii Medyko-Chirurgicznej i po roku rozpoczął wykłady, awansując na adiunkta. W 1862 r. został lekarzem Szpitala Dzieciątka Jezus i adiunktem Kliniki Terapeutycznej Szkoły Głównej. Po zamknięciu Szkoły Głównej wykładał na uniwersytecie terapię ogólną i diagnostykę lekarską. W 1871 r. mianowany został profesorem nadzwyczajnym. W Szpitalu Dzieciątka Jezus zorganizował klinikę, na której potrzeby naukowe nie szczędził przez kilkanaście lat znacznych sum. Mając 53 lata został zmuszony do ustąpienia z katedry i przejścia na emeryturę.

Obok działalności pedagogicznej dużo czasu zabierała mu prywatna praktyka lekarska. Znakomici lekarze bywają często ofiarami swego zawodu. Taką właśnie ofiarą był Baranowski, był nią zresztą również Chałubiński. Gdy Chałubiński w ostatnich latach swego życia wyjechał do Zakopanego, Baranowski zajął jego miejsce. Sława jego szeroko rozchodziła się po całej Polsce. Zawdzięczał to dużej wiedzy lekarskiej, sumiennej pracy i gorliwemu zajmowaniu się chorymi. Brał żywy udział w życiu społecznym i dlatego miał mało czasu na pracę naukową. Szczególną cechą jego charakteru była skromność i unikanie rozgłosu. Był prawdomówny, prostolinijny i tolerancyjny wobec ludzi innych przekonań. Do jego przyjaciół należeli m. in. Tytus Chałubiński, St. Janikowski, Jakub Natanson, Narcyza Zmichowska, a w późniejszych latach Eliza Orzeszkowa, z którą prowadził korespondencję, a nawet odwiedził ją w Grodnie. Dwukrotnie ogłosił drukiem życiorys Chałubińskiego, napisał wspomnienia o J. Natansonie i Jurgensie.

W 1909 r., a więc w wieku 75 lat, Ignacy Baranowski zaczął spisywać swoje wspomnienia. Obejmują one lata 1840—1863. Pierwsze ich rozdziały opisują lata dziecinne oraz stosunki rodzinne. Ojciec Baranowskiego, Jan Nepomucen, był adwokatem w Trybunale Lubelskim, zdobył w swoim zawodzie dużą praktykę i był jednym z zamożniejszych obywateli Lublina. Matkę, Mariannę z Gruszeckich, stracił w 1840 r. mając lat 7. Ojciec jeszcze dwukrotnie wstępował w związki małżeńskie, a stosunki rodzinne Baranowskiego z macochą i przyrodnim rodzeństwem układały się jak najlepiej. Ciekawe są fragmenty wspomnień poświęcone pobytowi w gimnazjum lubelskim — maluje sylwetki swoich nauczycieli, nie wahając się nawet przed opisaniem ich słabostek. Od 1851 r., po wyjeździe na studia medyczne, jego stałe kontakty z Lublinem zostały przerwane, chociaż przyjeżdżał tu jeszcze dwukrotnie, m. in. w 1856 r. by pielęgnować ojca, który zmarł w końcu grudnia tegoż roku, oraz zająć się losem przyrodniego rodzeństwa.

Swoje ogromne dochody z praktyki lekarskiej obracał na cele naukowe i społeczne. Łożył na wydawnictwa naukowe jak „Ateneum" i inne. Był współzałożycielem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego i hojnie je popierał. W testamencie temuż Towarzystwu zapisał 105 000 rubli, co było sumą na owe czasy olbrzymią. W 1908 r. został jego członkiem honorowym. W 1912 r. wyżej wspomniane Towarzystwo ofiarowało mu medal, wybity na jego cześć. Nie szczędził również środków na popieranie polskiego piśmiennictwa naukowego i przyczynił się do wydania „Historii Polski" Szujskiego, „Pamiętników" Matuszewicza, „Historii Anglii" Maucaulay, „Dziejopisarstwa wieków średnich" Zeissberga i „Logiki" Baina. Był członkiem Komitetu Kasy im. Mianowskiego, której przekazał dużą kwotę na cele dobroczynne, a zbiór obrazów pierwszorzędnych malarzy polskich zapisał Muzeum Narodowemu w Warszawie.

Nie zapomniał także o mieście rodzinnym. Towarzystwu Lekarskiemu Lubelskiemu ofiarował swoją bibliotekę, składającą się z około 2 000 tomów, o treści przyrodniczo-medycznej. Na koszta sprowadzenia tej biblioteki do Lublina legował rejentalnie 1000 rubli. Wraz ze zbiorami przekazany został katalog sporządzony prawdopodobnie przez niego samego. Również Bibliotece im. H. Łopacińskiego legował część swoich książek (około 400 pozycji). Na zbiór ten składają się przede wszystkim książki z dziedziny przyrody, chemii, lecznictwa i druki o treści społeczno-politycznej. Niektóre z nich mają dedykację autorów.

Bezimienny biograf Baranowskiego w „Czasie" (nr 57 z 27 II 1919 r.) napisał: „Schodzi z nim do grobu półwiekowa przeszłość społeczeństwa polskiego w Królestwie. Był nie tylko znakomitym lekarzem, profesorem i uczonym, był wielkim Polakim, który wszystkie bóle narodu brał w swą pierś magnetycznie przez lat 50, a radości zaznał tylko tyle, o ile Jego naród zaznawał w tych najcięższych jego latach".

Kamena str. 8

Dziesięć palców

Zbigniew Strzałkowski

Rys. autor

MNIE się już do niczego nie śpieszy. Siedzę i patrzę. A tak, wszędzie patrzę. Na wieś, na las, na trawy. Kiedy słońce wzejdzie wysoko i zaczyna przygrzewać wchodzę w cień drzew, kładę płaszcz pod lipą i siadam. Wygodnie tutaj, brzęczą pszczoły. O tam, pod grubą gałęzią mają swój ul. Dobrze im tu pewnie, kwiatów w bród. Mnie też dobrze, siedzę i słucham szumu liści. Wiatr górą przelewa się. Lubię czuć za plecami twardziel drzewa, chropawy naskórek, nierówny, guzowaty. Mam dużo czasu. Obejrzałem uważnie drzewo, ostukałem kijem. Dołem jest próchno, puste. Trzyma się jeszcze korzeniami. Ucapiło się ziemi mocno, boleśnie. Oj oj, ale wewnątrz puste. Nie przymierzając jak ja. Tak. Tak. Dawniej człowiek nie miał czasu dla siebie. Wszystko zabierała ziemia. Teraz to co innego. Nie muszę wyjeżdżać w pole, chodzić za pługiem pod wzniesienie, powoli, ciężko, jakby się ciągnęło za sobą czarną wstęgę i znów w dół. Tam i nazad. Kiedy tak wspinaliśmy się z Karym nieraz sobie myślałem: dojdziemy do szczytu niedługo, dotkniemy chmury, otoczy nas i otworzy się na oścież. Wejdziemy do raju. Chryste Panie! Wejdziemy razem. Ja i Kary. Bydlę to, ale dobrze mi służyło. Pracował ciężej ode mnie. Dobry koń, dlaczego nie miałby pójść do nieba, no nie... Głupi łeb, a może i nie głupi. Nikt nie wie jak tam jest. Nikt, bo nikt nigdy stamtąd nie wrócił, no nie. Może to grzech, ale po mojemu to w niebie są wszyscy, i ludzie, i las, i zwierzęta, i ptakowie, wszyscy. Czasami tęskno mi za nim. Chciałbym już onej chwili pójść tam. Co mi tam. Nic mi po życiu. Nic po rękach i nogach. Niby twoje a jakieś inne, obce. Podobny jesteś tej lipie. Wiesz, że któregoś dnia ujrzysz drzewo leżące. Śmierć. Nie zdziwi ciebie jego bolesny widok, ani rozdarte wnętrze. Śmierć. Mnie też wypłynęły kiszki. O tak, stąd dotąd rozwaliło mi brzuch. Jezusie, myślałem, że skonam onej godziny. Chwyciłem obu dłońmi za wnętrzności. W oczach mi pociemniało, a tu krew. Leżałem w trawie i tylko myślałem o jednym — umrę. Dla mnie wojna skończyła się. Zakopią byle gdzie. Ale wydobrzałem. Zszyli. Ruski mają dobrych chirurgów. Została tylko nierówna szrama. Nabrałem sił. Później zapomniałem o niej. Czas był pilny. Trzeba było samemu nosić worki ze zbożem na strych. Roboty było dosyć na nas dwoje.

Siedzę i patrzę na swoje ręce. Czy to są moje ręce? Poruszam nimi. Moje. Dotykam kija. Unoszę palce do oczu i nagle cały świat zamknął się za prętami. Nie przejdziesz przez nie. Można ucapić się prętów niczym cepigów pługa i patrzeć na obce miasto, wsłuchiwać się w szmer obcej mowy. Wtedy byłem młody. Karmili nas podle. Kartofle jak dla świń i woda. Dużo pomarło na tyfus. Codziennie wynoszono z obozu po kilka ciał, a potem jeszcze więcej. Mdliło mnie patrzenie na zmarłych. Bałem się, że i mnie śmierć zmorzy. Zabrali nas ze wsi dziesięciu. Młodych. Zdrowych. Pędząc rano krowy koło zagrody Białowąsa wspomniałem ich wszystkich, bo był tam i młodszy brat Białowąsa. I co? Nikt nie wrócił cały. Mnie bebechy rozwaliło, Sulima dostał odłamkiem w głowę, na amen odebrało mu rozum, nawet mnie nie poznawał. Walek, Józek, Heniek poszli w ziemię. Nas dwóch tylko wróciło, Sulima i ja. Dziwili się wszyscy jak im pokazywałem brzuch zszyty aż do przyrodzenia. Podśmiewywali się ze mnie, czy aby potrafię dzieci robić. Wa! Toż trójkę zmajstrowałem. Waldek gospodarzy, a Bronka i Zosia poszły do Zalesia. Zostałem sam. Stoję w zieleni. Dookoła cisza. Wiosna rozlała się szeroką falą. Zieleń i błękit. Wysoko. Ptak, który znienacka wypłynie, wisi nisko nad ziemią. Czy oni poszli do raju? Dziwne bo dziwne, uderzy w ciebie kula i fajt, nie żyjesz. Niczym nie różnisz się od upadłego drzewa czy zdechłego konia. Ja wierzę. Ojciec mój i matka chodzili do kościoła i my chodziliśmy. Po mojemu Bóg istnieje. Biorę ze sobą gazetę i czytam ją. Mam czas to całuśką przeczytam, wszystkie litery. Syn kupił telewizor, patrzymy wieczorami. Jest i radio. Waldek zaradny chłopak. Syn mi się udał, nie ma co. Mnie wszystko obchodzi, co w Chinach, w Wietnamie i ci co lecą na Księżyc. Tak. Mój ojciec bał się techniki, że niby to robota diabła. Po prawdzie nie dziwę się jemu. Nasza wieś była zagrzebana w puszczy. Piachy. Las. Woda. I niebo. Ciężko było wyżyć. Łopiany buszowały większe od ciebie, o tak. Staniesz w nich, ledwie głowę wychylisz i zaraz widzisz następne liście łopianu. Zboże żęło się kosą, a jak legło matka sierpem cięła. Kto dzisiaj o tym pamięta, my starzy, a wtedy byłem młodzikiem. Pomagałem wiązać snopy i stawiać w kopy. Kosiarka była u dziedzica w majątku. Kiedy jemu nie była potrzebna wypożyczał bogatym gospodarzom, nam starczała kosa i sierp. Patrzę na swoje ręce i myślę o dłoniach ojca. Zawsze miał zgięte, gotowe do uchwycenia styliska. Moje też są takie. Nie wyprostujesz ich. Gruzłowate. Twardy naskórek. Leśniczy mówił mi kiedyś, że owe guzy na lipie to z powodu choroby, niby rak. Ażem się zdumiał. Niby drzewa chorują jak człowiek. Rak. Bydlę choruje, ale drzewa... Któregoś roku padło nam całe bydło. Owce, krowy i świnie. Pozdychały kury, indyczki. Tyle mięsa, a nie zjesz. Trzeba było wrzucić do dołu i zalać wapnem. Nawet mydła nie dało się zrobić, psia kość. Nie dość, że nic nie było w stodole, jeszcze bydło padło. Moja stara mówiła, że to kara boża. Baby zawsze po swojemu myślą. Trzeba było zakręcić się koło Rusków, żeby sprzedali wałacha. Z nimi interes szedł dobry, a jeszcze lepszy był jak zaczęli z Niemiec bydło gnać. Psia kość, tośmy się obłowili. Kto tylko mógł zapędzał owce albo krowy do zagrody albo w las. Nic nam nie mogli zrobić. Żołnierze mieli karabiny bez naboi. Gonili całe tabuny. Wiele sztuk padło. Ile ich dopędzili, czort wie. Dla nas były to szczęśliwe dni.

Z początku trudno było przyzwyczaić się. Niby to nasze, a jakieś obce, niemieckie. Wszystko było obce, cokolwiek wziąłeś do ręki. Słuchasz jak wilga śpiewa albo wrona kracze i zdaje ci się, że w Kostomłotach ptaki śpiewały jakoś cieplej. Weźmiesz garść trawy, miękka, puszysta, bujna, rzucasz z niechęcią. Przyjechał starosta, a nas pięciu, już pięć polskich rodzin: Dobrowolski, Gomuła, Jankowski, góral Straszyszyn i ja. Wieś spora, murowana, po zagrodach siedzą Niemcy, ani myślą opuszczać gospodarstwa. Starosta wyznaczył dziesięć gospodarstw, a Niemcy w krzyk, że nie pójdą bo to ich. Niemki lamentują, ale zagroził, że przyśle milicję i każe ich aresztować. Musiał ich nastraszyć. Bali się, psia juchy, ale swoje robili. Spalili młyn. Nie kto inny to zrobił tylko szkopy. Pyta mnie starosta, czy wiem gdzie jest moje pole. Skąd mam wiedzieć. Niemcy nie chcą powiedzieć. Gminy polskiej nie ma. Starosta pojechał do majątku i przywiózł ze sobą Ślązaczkę, Gertrudę, ta mówiła po naszemu, ale nie tak jak my. Gertruda wie. Pracowała u bauera, więc wie gdzie jaki kawałek pola się znajduje. Skoro pan starosta tu jest niech powie jak to będzie z gospodarowaniem. Opuścili Kostomłoty bo im kazano, a teraz Niemcy mówią, że tutaj Polski nie będzie. Gdzie leży prawda? Co się z nimi stanie? Czy warto orać i siać? Wszystko w polu stoi. Co robić? Zgadałem się z niemieckim gospodarzem, mówię mu, pół na pół, pomoże, wymłócimy — dostanie swoje zboże, kartofle. Niemcy bo Niemcy, aleć ludzie, żal ich, mają troje małych dzieci. Dostawali od nas mleko.

Tak sobie nieraz przypominam tamten czas. Wszystko jest to samo. Żaden dom nie przybył ani nie ubył. Wyrosło więcej topól wzdłuż polnej drogi wiodącej do Przylesia Górnego, ubyło ludzi. Zmarł stary Leszczuk, odszedł na wieczny spoczynek Kobzdej, Dębek, Marszał, Bober i Zasawa. Młody rocznik 1915, 1920. Co innego Leszczuk, stuknął mu dziewiąty krzyżyk, a on nic, chodził o lasce, z każdym porozmawiał, wkładał do ucha mosiężną trąbkę i tylko kiwa głową. Zmarł równo w sto lat. We śnie zmarł. Był piętnastym, który leży na nowym cmentarzu. Pozostawił po sobie cztery córki i sześciu synów. Nieśli starego w trumnie na szarfach, bo on był prawosławny i nasz ksiądz nie mógł prowadzić pogrzebu, ale myśmy poszli. Oj, płakali Leszczuki. Teraz jego wnuk przyjeżdża swoim autem z miasta, jest inżynierem, a wnuczka poszła za ruskiego pułkownika, w samej Moskwie żyją, wysoko poszła. Tak. Ludziom różnie jest pisane. Nie wyczytasz z ręki ani z gwiazd.

Jeszcze stakańczyk wypiję. Uuu, mocne. Ja już nie ten co dawniej. Chcesz czy nie chcesz musisz słuchać żołądka. On teraz najważniejszy. Nawalą nerki, klapa. Już jesteś trup. No, nie jest tak? Jest. Każdy mądry dopóki go choroba nie złoży. Czytam w gazetach i tak sobie myślę: wymyślają różności na choroby, a one są i to jakie. Coraz gorsze. Rany boskie, skąd one się biorą? Z nas. Z ziemi. Może to robota szatana. Nie? No, kto wie. Uuu, mocna wódka. Grzeje mocno. Dawniej mogłem kilka takich szklanek golnąć i nic. Wesoło było. Teraz nie da rady. W oczach zaraz ćmi, pali w żołądku. Nie dziwota, jakem wyszedł z obozu do niczego nie byłem zdatny. Rzucił mi się wrzód na jelita. Wiłem się z bólu. Co zjem żołądek wyrzuca. Szykowałem się na śmierć. Wzięli mnie pod nóż. Wyżyłem. Łażę jakoś. Ludzie dziwowali się, żem się wywinął spod kosy Kostuchy. Dzisiaj można się z tego pośmiać. Przyszedł wtedy do mnie Jankowiak, nie znasz go, popytaj o niego, on układa wiersze. Pokażę ci jego dom. Za tymi topolami, czerwony gont. Gospodarzy z córką. Żonę mu banderowcy ubili, dwóch synów także. Sam z córką ocalał. Przyszedł wtedy do mnie, siadł na taborecie i nic nie mówi. O, myślę sobie, skoro Jankowiak milczy znaczy coś musiało się zdarzyć. Pytam go, co ci jest Heniek, chory nie jesteś? Patrz, jak mi się udało uciec Kostusze, he, he, pokrajali bo pokrajali, sporo kiszek wyciągnęli, ale żyję. Czegoś taki markotny? Wtedy mi powiedział, że chciałby ożenić się. Jest tu we wsi taka jedna Ślązaczka, gospodarna, w sam raz dla niego, ale boi się córki. Sprawa niełatwa. I tak pozostało. On się nie ożenił i ja pozostałem wdowcem. Tego bym rodzonemu synowi ani córce nie powiedział, ale tobie powiem. Umyśliłem ożenić się. Psia kość. Naszła mnie chętka jak tylko Jankowiak powiedział, że chce wziąć sobie babę. Czy ja gorszy, młodszy od niego jestem. Niech tylko wygobrzeję... No i lepiej, że jest jak jest. Moja kobieta była gospodarna. Nieraz jej mówiłem: Jadzia zostaw to, idź i odpocznij, nie zrobisz dzisiaj to zrobisz jutro. Miej wzgląd na dzieci. Silna była. Trzeba było chwytała worek zboża i hajda na strych. Ot i nieszczęście. Coś jej łupnęło w krzyżu. Tak ją zgięło. Jakby nie ta kobieta. Dziwna choroba. Bladła, bladła, aż zmarła. Zmarła tak jakoś na wiosnę, a za miesiąc weszli Sowieci. Wszystkim było do radości, a mnie do żalu. Zostałem sam z trójką. Na dodatek choroba żołądka. A wiesz co ci powiem, nie uwierzysz, bo trudno w to uwierzyć, ale to prawda, trumnę na mnie zrobili, Boryna wziął miarę i nic tylko heblował deski, zbił już dolną część, jak mnie zabrali do szpitala. Co z trumną? A cóż, została tam.

Ale się rozpadało. Kapie i kapie. Dobrze, że wziąłem płachtę. Tutaj o tej porze siąpi całymi dniami. Umyśliłem pobudować daszek dla bydła, po co ma moknąć, ale syn wyśmiał mnie. Całymi dniami razem jesteśmy. Wokoło cisza. Jesienią jedwabista zasłona deszczu, rankami mgła nisko. Wszystko oddala się, zostaje wielkie morze pary.

Teraz ci zaśpiewam piosenki jakie znam. Oj, ile ich moja matka znała, i polskie, i białoruskie, i cygańskie. To zaśpiewam ci wojskową, he, he, takiej na pewno nie znasz... Tfu, świństwo, ale takie śpiewano wtedy...

Musisz pójść potem do Leszczuków, ona zna dużo pieśni, najwięcej tych co śpiewają po cerkwiach. Tylko im nic nie mów, że wiesz ode mnie, ich syn Stepan był w ichnej partyzantce, no w UPA oficerem był. A tak. Dostał dziesięć lat, ale przyszła amnestia i po ośmiu rokach wyszedł. Gospodarzy teraz u nas. Obok nich siedzi Keres. Jemu bulbowcy na plecach wycięli krzyż, pokazywał sam, strach było patrzeć. I za co? Że był Polakiem. Uratował go jakiś młody Ukrainiec, wywlókł w las, kazał uciekać. Dużo my przeszli. Taki Kalina, jak był w wojsku wlazł na minę i nic, wyrzuciło go w górę, nastrachał się, ale ani go drasnęło. Przywiózł z wojny dwa rzędy medali, za Pobiedu, order Lenina, nasz Grunwaldzki, za Warszawę i inne. Wysoki mężczyzna, postawny, tyle że ryżawy na łbie no i nie bardzo kobiety go chciały, ale znalazł sobie kobietę z Latarni i dobrze żyją. Zrobili go sekretarzem partii. Przypomniałem sobie jeszcze jedną piosenkę, śpiewano ją wtedy na moim weselu.

Zjechali my tutaj i stanęli na swoim. Gospodarstwo duże, piętnaście hektarów z okładem. Mogłem wybrać inne budynki, dalej, ale mnie się od samego początku te widziały. Dobrze zrobiłem nie ruszając się stąd. Wszystko blisko: kościół, gmina, waga, teraz sklep jest obok szkoły. Tak. Dawniej przystanku nie było. Za Niemców wcale autobusy nie chodziły, kto musiał jechał bryczką na stację do Przylesia Dolnego albo do miasta, teraz jest wygoda, nie ma co. U nas z Kostomłotów do Kobrynia szło się siedem kilometrów piachem, każdą niedzielę na sumę. We wsi nie było kościoła ani cerkwi. Ile nas rodzin było — osiem polskich rodzin: Kubiki, my, Sawicki, Białas, Leszcz, Kokoty, Pluta, Śpiewak. Wieś duża ludna. Obok lasy. Doszły nas słuchy o mordowaniu Polaków. Rada w radę co robić. Kostomłoty całe z białoruskich rodzin, na chutorach cztery rodziny Ukraińców, w tym Leszczuki. Pojechałem do miasta, a tu masz, żandarmi mnie capnęli. Wszystko zabrali, zbili. Poszedłem do obozu.

Patrz, przeżyłem obóz, a tu takiego Sawickiego Niemcy zastrzelili. Ktoś doniósł na niego, że pomaga ruskim partyzantom. I jego, i żonę, i dzieci zastrzelili, a dom spalili. Omal wieś nie poszła od tego płomienia z dymem. Jak bulbowcy zaczęli mordować naszych, Kokot i Pluta załadowali dobytek na wozy i uciekali z Kostomłotów do rodziny. Daleko nie zajechali. Mówił mi jeden znajomy, krewniak Pluty, że ostrzelały ich samoloty. Pluta postradał rękę, a Kokota z synem na miejscu zabiło. Ja przeżyłem, daliśmy z żoną na mszę, toż to cud. Tylu umierało przy mnie, a mnie Bóg ocalił. To pewnie przez medalik, który noszę przy sobie, o zobacz, starł się już, czterdzieści lat noszę, trzy razy gubiłem, alem znalazł, matka mi go dała. Sprawiłem sobie mocny rzemyk, zwałkowałem, oszlifowałem osełką, nie urwie się.

Daj tę butelkę, schowam w drzewie, przyda się wiosną. Wokoło rośnie pełno brzóz. Nigdzie w okolicy nie rośnie tyle co tutaj. Kiedy słoneczko przygrzeje i soki pójdą w górę wystarcza wywiercić otwór w pniu, włożyć słomę albo patyczek i sok płynie do butelki. Zawsze tak robię, po trochu z każdego spuszczę, popiję, zaniosę wnukom, ale im już tak nie smakuje. Człowiek jak drzewo ssie, ssie i wtedy czuje się mocny. Jakbyś zjechał na Wielkanoc poszlibyśmy do drzew i otworzyli dziurki, wypili, nie próbowałeś jeszcze. Aaa. Wnukom nie mówię, bo te basałyki poniszczą drzewa, a to trzeba zaraz otwór gliną zamknąć, obwiązać. Jak ranę. Ty, widzę, też masz dobre cięcie na ręku. Z wojny?

Ja swego Niemca akuratnie odstawiłem na punkt do miasta gdzie się wszyscy z powiatu zbierali. Załadowali dobry wóz, para koni miała co ciągnąć. Wrzuciłem worek mąki, w dwa inne kaszy, dostał połeć słoniny, bo akurat ubiliśmy wieprzka. Po Waldku jego najmłodszy nosił palto, dobre, na watolinie, ja swoje buty fasowane oddałem, niech ma. No, nareszcie nie trza się oglądać na Niemca co i jak. Swoją drogą przykazałem synowi i córkom mieć oko na nich, licho nigdy nie śpi.

Odwiozłem ich do miasta, a jeszcze po drodze dosiadły dwie Niemki z dziećmi, pod miastem jakiś stary Niemiec chciał aby jego wózek doczepić. Wziąłem na sznur. Ten mój Niemiec nazywał się Karol Rosenthal, zapamiętałem nazwisko dobrze. Nie krzywdowali u nas. Ci z majątku mieli gorzej, chodzili i napraszali się do pracy, ale do jakiej roboty brać baby i wyrostków, wszystkiego człowiek nie rozda, bo swoich wyżywić trudno. A tu jesień, przymrozki biorą, czas podorywki robić, młócić. Mówię do tego Rosenthala niech najmie ze dwie silne kobiety do młócki albo i ze trzy, dam wikt i zboże, bo sami nie podołamy. I tak było. Trzy dni młóciliśmy. Za stodołą sterta słomy aż po szczyt dachu, szczęściem nie padały już deszcze. Przeleżała tak całą zimę bo co z nią było robić, w zasiekach i na zapolu pełno słomy, a bydła niewiele, raptem dwie krowy, koń i trzy świniaki. Chodziłem koło nich więcej niż wedle dzieci, toż to nasz cały majątek. A kiedy maciora dała dwanaście prosiąt przeniosłem się spać do chlewa, aby pilnować, maciora była ślepa i mogła zadusić. I tak nie upilnowałem, trzy przygniotła, ale dziewięć wyrosło. Odsprzedałem potem Barańskiemu, do majątku wzięli, oni tam u siebie nic nie mieli, same gołe ściany. Bauerzy uciekając zabierali co się dało, ale widać śpieszno im było uciekać bo meble, obrazy i narzędzia zostały na swoim miejscu. Zostały kobiety pilnować gospodarstw. Mężczyzny Hitler wziął do wojska. Tego mojego Niemca nie wzięli bo był inwalidą jeszcze z czasów pierwszej wojny, miał chromą nogę, mówił, że to rosyjska artyleria. A ja mu na to: teraz znowuż Ruski dali wam po jajach, a on tylko kiwa głową i swoje: ja, ja. Nie mógł nauczyć się po polsku. A mój Waldek to szwargotał. Córki już mniej, ja też, a on gadał z Karolem. Teraz już nic nie pamięta. Miał ten Niemiec napisać list do nas jak zajechał, ale nie napisał, widocznie odmieniło mu się. Może już zmarł. Cerę miał niezdrową, twarz w krostach, liszaj nie liszaj, czort wie. Parzył sobie jakieś zioła, ale po mojemu od złego jedzenia tego dostał. Chcieli Hitlera to im dał. Żona mu zmarła na tyfus. Dużo ludzi zmarło na tyfus, a zaraz potem nadszedł front. No i my zjechali, szczęściem nikt z naszych nie zachorował.

Łaciata idzie do domu to i nam trzeba się zbierać. Siąpi i siąpi. Zamknij aparat, bo zmoknie. Zagraniczny... Japoński. Pewnie drogi. Aż tyle tysięcy kosztował. Taki niepokaźny, a tyle wart. Teraz różności wymyślają. Syn kupił zeszłego roku tranzystor, grał, grał, aż kupił duże radio, a to małe mnie dał. Dobra rzecz, na baterie. Brałem ze sobą na łąki. Cosik w nim zepsuło się bo nie gra. Trzeba by było do miasta zawieźć, tam naprawią. Krasula, nuuu! One same trafią. Jak przyjdzie ich pora idą do zagrody, pierwsza Łaciata, ta co już poszła, za nią inne. Mleka mamy pod dostatkiem, odstawiamy na punkt. Masz, włóż worek na głowę. Przenocujesz u nas, poznasz mojego syna, gdzie chcesz jechać o tej porze, rano pełno aut. Pewnie buty też masz mokre. Będzie padało przez całą noc. Zjemy i pójdziemy do Leszczuków, tylko nic im nie mów o tym co ci mówiłem wedle ich syna. Wszystko już przeszło. Ludzie wojują, a potem jest spokój.

Opowiadanie z tomu: TWARZĄ NA ZACHÓD nagrodzonego II nagrodą w ogólnopolskim konkursie z okazji 30 rocznicy Powstań Śląskich.

okolice sztuki

Brzeskie malarstwo

W Dniach Lublina gościliśmy wystawę malarstwa artystów brzeskich: ponad sto prac kilkudziesięciu artystów. Można przypuszczać, że ekspozycja prezentowała zasadnicze kierunki zainteresowań twórczych plastyków zza Buga, jeszcze raz przekonując o silnych związkach tej sztuki z historią i współczesnym życiem społeczeństwa.

Oczywiście, między sztuką a rzeczywistością społeczną zawsze istnieje związek przyczynowy, ostatecznie nowa figuracja i amerykański pop - art to tendencje wyrosłe w określonej sytuacji społecznej, której problemy, nastroje i ide docierają na płótna obrazów czy w przedmiotowe struktury rzeźbiarskie pod postacią znaków, mniej lub bardziej metaforycznych, lub cytatów niemal — choćby konfekcyjnych spodni.

Między malarstwem artystów brzeskich a rzeczywistością społeczną istnieją przecież związki innego typu, oparte przede wszystkim na ideologii socjalistycznej, a więc przekreślające jakikolwiek konflikt na linii artysta — społeczeństwo. Rolą twórcy jest afirmacja porządku społecznego, z którym utożsamia on niejako siebie samego, porządku kształtującego jego świadomość i obywatelską i artystyczną. Taki program zakłada również utrwalanie tych momentów z historii, które miały doniosłe znaczenie dla późniejszych losów narodu, będąc zarazem sprawdzianem jego moralnej wartości.

Zrozumiałe więc, że najczęstszym bodaj motywem, pojawiającym się w obrazach różnych autorów brzeskiej wystawy, jest obrona żżynnej twierdzy w tym mieście, która — dodajmy przy okazji — w najbliższych miesiącach doczeka się odsłonięcia olbrzymiego pomnika, upamiętniającego bohaterstwo żołnierzy radzieckich, walczących z hitlerowskim najazdem. W sposób najbardziej sugestywny, a zarazem interesujący malarsko, przedstawił ten historyczny wątek W. A. Korolczuk, artysta należący do średniej generacji plastyków brzeskich. Jego „Twierdza żyje" to obraz dyskretny w swojej wykładni ideowej, o budowie opartej na zestawieniach szerokich płaszczyzn czerwieni i stłumionych brązów, które określają zwaliste mury twierdzy, jakby zapisane niewielkimi sylwetkami ludzi. Nie ma na tym płótnie gestów dramatycznych, nie ma rekwizytów towarzyszących zazwyczaj tej tematyce, Korolczuk przemawia przy pomocy środków czysto malarskich, rozległa czerwień pierwszego planu jest plastyczną metaforą walki i heroizmu.

Kilka innych interpretacji tego tematu przywodzi na myśl historię malarstwa, przede wszystkim romantycznego. Z tych też rejonów czerpał znany już w Lublinie J. Rudczyk, autor „partyzanckiego" cyklu ciemnozielonych obrazów, na których dostrzegamy postaci w radzieckich i polskich mundurach. Z dobrej szkoły dziewiętnastowiecznego malarstwa rosyjskiego wywodzą się natomiast portrety, potwierdzające wysokie umiejętności warsztatowe ich twórców.

Warto przecież zauważyć, że malarstwo brzeskie nie pozostaje w kręgu tendencji stylistycznych już sprawdzonych i osadzonych w przeszłości, że niektórzy artyści — z różnym skutkiem — próbują stosować metody obrazowania, które dały początek pojmowaniu dzieła sztuki jako swoistej rzeczywistości autonomicznej, bezpośrednio niezależnej od świata natury, opartej na logice formy i poddanej rygorom intelektu. Mam tu na myśli M. Klimowa i jego duże płótno „Protest", zbudowane z pryzmatycznych form, przypominających kształtem i wzajemnymi relacjami tendencje postkubistyczne, których czystość stylistyczną zatarł autor wkomponowaniem czytelnie potraktowanej twarzy ludzkiej. Ten utręt nie razi jednak, mocna konstrukcja całości przyciąga uwagę widza niejako ponad tym elementem. Należy przy tym wiedzieć, że Klimow, absolwent Białoruskiego Państwowego Instytutu Teatralno-Artystycznego, urodził się w roku 1940, reprezentuje zatem najmłodsze pokolenie malarzy brzeskich, które w najbliższych latach zacznie określać kształt tamtejszej sztuki.

I. G. Krupski jest nieco starszy od Klimowa, ma obecnie lat 37, skończył ten sam Instytut, a w malarstwie wykazuje pewne pokrewieństwa z koloryzmem (podobnie jak J. Fiecisow, autor postimpresjonistycznego, dobrze namalowanego „Przekazywania tradycji"). Jego „Październik" to swobodna impresja malarska, zanotowana szybkimi uderzeniami pędzla — właściwie dynamiczna kompozycja kolorystyczna, o trudno czytelnym wątku tematycznym. Po prostu kawałek niezłego malarstwa.

I jeszcze jeden malarz, na którego nie sposób nie zwrócić uwagi: P. A. Danielija, Gruzin z pochodzenia, autor pięciu obrazów pejzażowych, sygnalizujących wysoką kulturę malarską. Trudne do określenia, ale niezwykle mocne napięcie emocjonalne, które powodują „Wzgórza leninowskie", każe uznać ten obraz za najciekawszy.

Dodajmy na koniec, że z artystów brzeskich 30 należy do Związku Artystów ZSRR, a warunkiem przyjęcie do tego stowarzyszenia, cieszącego się ogromnym autorytetem, jest trzykrotny udział w wystawach wszechzwiązkowych; ukończenie uczelni plastycznej nie uprawnia automatycznie, jak u nas, do członkostwa. Ponadto członkowie Związku przechodzą siedem stopni hierarchicznych, aż do „akademika", co nie pozostaje bez wpływu na wycenę ich obrazów.

Niemal równolegle z wystawą w BWA w Brześciu czynna była ekspozycja plastyki lubelskiej.

IJK

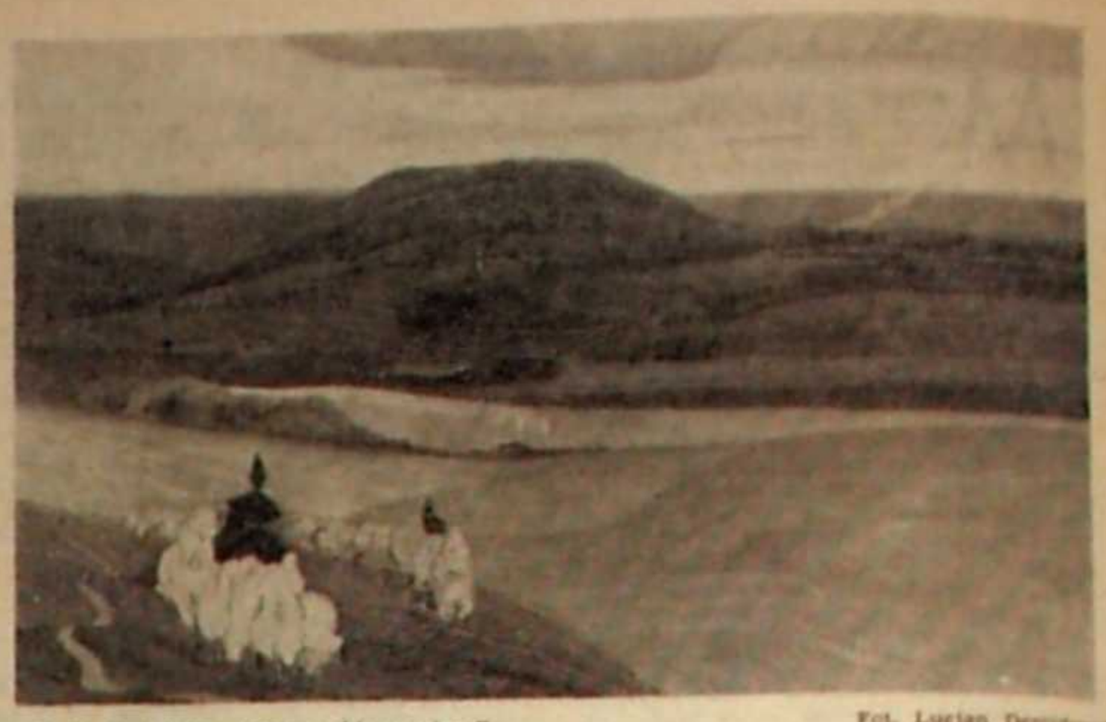

P. A. Danielija: „Leninowskie wzgórza". Fot. Lucjan Demidowski

Nasza muzyka w czołówce

Krzysztof Penderecki Fot. CAF

WYSOKA ranga, jaką osiągnęła polska muzyka w ostatnim ćwierćwieczu, jest faktem bezspornym. Ten światowy awans zawdzięczamy nie tylko talentom polskich twórców i wykonawców — stał się on możliwy dzięki szeroko rozwiniętemu mecenatowi państwowemu nad wszystkimi dziedzinami naszego życia kulturalnego.

Mecenat ten sprawił, że polska kultura obecna jest co roku na kilkudziesięciu wielkich międzynarodowych imprezach — konkursach, festiwalach, wystawach, z których nierzadko wracamy z laurami. Dość przypomnieć, że sami muzycy przysporzyli nam w tym okresie 250 nagród i wyróżnień.

A oto jeszcze bardziej znamienny przykład ekspansji naszej muzyki: w 67 krajach koncertowało dotychczas 300 naszych zespołów, 1000 solistów. Dla porównania: Orkiestra Filharmonii Narodowej, która przed wojną ani razu nie koncertowała za granicą, obecnie szczyci się dwudziestoma siedmioma podróżami do 26 krajów, będąc jednym z nielicznych na świecie zespołów muzycznych udających się na paromiesięczne tournee. Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia (w okresie międzywojennym — 1 wyjazd) występowała w 22 krajach i ma na swym koncie również transkontynentalne tournee. Na całym świecie nazwiska polskich dyrygentów i śpiewaków skrzypków, pianistów — Jana Krenza, Henryka Czyża, Jerzego Semkowa, Witola Rowickiego, Stanisława Wisłockiego, Stefanii Woytowicz, Bernarda Ładysza, Wandy Wiłkomirskiej, Konstantego Kulki, Barbary Hesse-Bukowskiej, Haliny Czerny-Stefańskiej, Reginy Smendzianki i in. artystów są synonimem najwyższego kunsztu. Na kilku kontynentach oklaskiwane też były inne nasze zespoły, jak chór Stuligrosza, Kwintet Warszawski, nie mówiąc o cieszących się wielką popularnością zespołach folklorystycznych, z „Mazowszem" i „Śląskiem" na czele.

I jeszcze jedna konfrontacja: do 1939 r. jedynym polskim kompozytorem, którego twórczość znana była poza granicami kraju, był Chopin. Nie zdołał zyskać światowej sławy twórca tej miary, co Karol Szymanowski, choć udało się doprowadzić do paryskiej premiery „Harnasiów".

Po wojnie zadebiutowała u nas liczna grupa kompozytorów, których twórczość rozsławiła polską muzykę na cały świat. Najbardziej reprezentatywną postacią jest tu oczywiście Krzysztof Penderecki, uważany za jednego z najwybitniejszych kompozytorów współczesnych na świecie. Od skomponowanego przed dziesięciu laty „Trenu pamięci ofiar Hiroszymy" po „Kosmogonię" prawykonanie każdego dzieła Pendereckiego staje się wydarzeniem muzycznym w świecie. Tę generację reprezentuje również Tadeusz Baird, laureat wielu międzynarodowych nagród (m. in. trzykrotnie wyróżniony przez Trybunę Kompozytorów przy UNESCO w Paryżu). Każde z jego dzieł jest setki razy wykonywane na estradach całego świata, np. „4 eseje" już blisko 400 razy rozbrzmiewały za granicą.

Szczególnie jednak wymowny jest fakt, że dzieła polskich kompozytorów uświetniają uroczystości nawet o światowej randze, jak właśnie wspomniana już „Kosmogonia", skomponowana, jak wiadomo, dla uczczenia 25-lecia ONZ i po raz pierwszy wykonana w Nowym Jorku. „Postludium" Witolda Lutosławskiego zostało skomponowane na zamówienie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, z okazji obchodów 100-lecia tej organizacji. Filharmonie z kilku miast europejskich zwróciły się do Tadeusza Bairda o skomponowanie utworów związanych z jubileuszem tych instytucji. Wyrazem uznania dla naszych twórców są też nadawane im godności, jak np. tytuł członka Królewskiej Akademii Muzycznej w Sztokholmie i doctora honoris causa Uniwersytetu w Cleveland dla Witolda Lutosławskiego.

Oczywiście ci trzej kompozytorzy nie wyczerpują listy naszych twórców o międzynarodowej sławie. Kazimierz Serocki, Augustyn Bloch, Henryk Górecki, Krystyna Moszumańska-Nazar, Wojciech Kilar, Tomasz Sikorski, Zbigniew Rudziński — to tylko kilka dalszych przykładów światowego awansu naszej muzyki.

Aby uzmysłowić sobie zainteresowanie polską muzyką, wystarczy przytoczyć liczby: w sezonie 1969/70 wykonano za granicą 227 utworów 54 naszych kompozytorów. Naszą pozycję w międzynarodowym świecie muzycznym określają też imprezy, których jesteśmy gospodarzami. Wysoko cenione są tytuły laureatów międzynarodowych konkursów im. Chopina i im. Wieniawskiego, zaś „Warszawska Jesień" cieszy się opinią jednego z najbardziej wszechstronnych i reprezentatywnych przeglądów muzyki współczesnej na świecie.

Polski serial telewizyjny

Od Barbary do Chopina

POLSKI film telewizyjny jest zjawiskiem młodym — pierwsze jaskółki tego gatunku, tak lekceważonego początkowo przez twórców, zaczęły pojawiać się u progu lat sześćdziesiątych. Wkrótce okazało się, że „kopciuszek" jest niecierpliwie oczekiwany przez widzów, odnosi sukcesy, jakie nigdy nie były udziałem filmów, przeznaczonych dla kin.

Wśród filmów telewizyjnych szczególną pozycję zajmuje serial. Filmy „pojedyncze", nawet najciekawsze, giną często w natłoku innych programów telewizyjnych, natomiast na dobrych znajomych, jakimi są zwykle postacie serialu, widz czeka organizując swój czas tak, aby zdążyć na spotkanie z bohaterami „Stawki" czy „Sagi".

Pierwszy polski serial nosił tytuł „Barbara i Jan" i przemknął przez szklane ekrany w 1964 r. Widzowie byli nim raczej zawiedzeni. Potem przyszły dalsze: „Kapitan Sowa na tropie", „Dzień ostatni, dzień pierwszy" Ewy i Czesława Petelskich, seria fantastyczno-naukowych opowiadań Stanisława Lema, „Wojna domowa" Jerzego Gruzy i „Podziemny front" Huberta Drapelli. Później — długa, złożona z 24 odcinków seria „Opowieści niezwykłych", oparta na nowelach klasyki rodzinnej i obcej; niewiele z tych filmów zachowało się w pamięci telewidzów, choć były wśród nich takie perełki, jak „Ja gorę" czy nastrojowa „Pieśń triumfującej miłości". Nie wzbudziła, niestety, większego zainteresowania zrealizowana przez Andrzeja Kondratiuka seria oparta na „Opowiadaniach prof. Tutki" Jerzego Szaniawskiego.

I wreszcie powstał serial, który trafił do milionów, kilkakrotnie powracał na ekrany, przyciągając do nich nie tylko młodszych, z myślą o których był nakręcany, ale i starszych telewidzów. Oczywiście, chodzi o „Czterech pancernych i psa", serię opartą na książce Janusza Przymanowskiego, w reżyserii Konrada Nałęckiego. Wprawdzie druga część nie odniosła już takiego sukcesu jak pierwsza, film odegrał jednak ogromną rolę „w organizowaniu masowej wyobraźni". Załoga czołgu 102 kontynuowała swój zwycięski rajd w telewizjach innych krajów socjalistycznych.

Kolejny sukces: „Stawka większa niż życie", triumf przede wszystkim Stanisława Mikulskiego, nieustraszonego asa wywiadu, Wallenroda czasów II wojny światowej. Współtwórcami zwycięstwa byli zarówno scenarzyści jak też realizatorzy „Stawki", a Mikulski należy dziś do najbardziej znanych Polaków we wszystkich krajach socjalistycznych. I nie tylko. Np. w Szwecji „Stawka" uznana została za największy zeszłoroczny sukces tamtejszej telewizji. W dniach pokazów nie tylko paraliżowała życie towarzyskie, ale zamierał wówczas nawet ruch uliczny. Kiedy wyświetlała „Stawkę" telewizja NRD, poszczególne odcinki recenzowały również gazety zachodnioniemieckie, ponieważ przygody kpt. Klossa oglądały miliony widzów w Niemczech zachodnich.

Z sympatią przyjęto telewizyjne „Przygody Pana Michała", a z zainteresowaniem 5 odcinków „Kolumbów", zdaniem wielu najambitniejszy z powstałych dotychczas polskich seriali. I wreszcie pojawiła się „Doktor Ewa", cykl chyba najostrzej krytykowany, który wywołał prawdziwą lawinę protestów i stał się przyczyną procesu sądowego.

— Serial ten udowodnił, jak trudna jest tematyka współczesna, a zarazem jak ważna i potrzebna — mówi kierownik Redakcji Filmowej TV Andrzej Czałbowski. — Czy byłaby do pomyślenia taka dyskusja nad jakimkolwiek filmem kostiumowym? Jest to dla nas najbardziej przekonujący argument za śmielszym sięganiem do tej tematyki i oczywiście większej troski w jej przedstawianiu. Przy okazji dodam, że przeprowadzona przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej, Radia i TV ankieta w sprawie „Doktor Ewy" wykazała, iż obraz bohaterki filmu wydał się dla 82 proc. badanych 400 mieszkańców w 20 powiatach „nazbyt pozytywny". Ogólnie biorąc 2/3 badanych wydało serialowi pozytywną ocenę, a 1/3 — nie podobał się.

Jakie dalsze serie oglądać będziemy na naszych ekranach? A więc już wkrótce wejdzie na antenę 7-odcinkowy cykl zatytułowany „Przygody psa Cywila", reżyserii Krzysztofa Szmagiera. Bohater serialu — wilczur — ma szanse zdystansować w popularności Szarika. Film opowiada dzieje tego psa milicyjnego od wieku szczenięcego poprzez pobyt w szkole, z której zostaje wyrzucony za niesubordynację, aż po sukcesy w tropieniu przestępców. Serial jest pełen sensacji, humoru i — choć przeznaczony dla młodego widza — z pewnością oglądany będzie przez starszych.

Jan Rybkowski rozpoczyna zdjęcia do adaptacji „Chłopów" na taśmie kolorowej w 13 odcinkach. W głównych rolach wystąpią: Władysław Hańcza, Ignacy Gogolewski, Anna Seniuk, Emilia Krakowska i Tadeusz Fijewski. Ruszyła produkcja serialu o Koperniku, realizowana przy okazji nakręcania filmu fabularnego, poświęconego temu wielkiemu uczonemu; reżyserują małżonkowie Petelscy, a całość mieć będzie 3 jednogodzinne odcinki.

— Niestety, ciągle nie możemy dojść do porozumienia z kinematografią w sprawie serialu opartego na „Potopie" Sienkiewicza — stwierdza red. Czałbowski. — Scenariusze Jerzego Lutowskiego są już gotowe, a reżyserię, podobnie jak „Przygód Pana Michała", obejmie Paweł Komorowski. Kmicica ma grać inny aktor, nie Olbrychski, jego nazwiska nie chce jednak reż. Komorowski jeszcze ujawnić. Sądzę, że uda nam się przełamać opory reż. Jerzego Hoffmana i władz kinematografii i widzowie obejrzą telewizyjną wersję drugiej części „Trylogii" w 21 jednogodzinnych odcinkach.

Andrzej Konic rozpoczyna już wkrótce zdjęcia do złożonego z 7 odcinków filmu „Czarne chmury", którego akcja toczy się w XVII wieku w okresie walki o przyłączenie do Polski Prus Książęcych. Jerzy Passendorfer myśli o serialu o Janosiku (13 odcinków). Gotowy też jest scenariusz serialu współczesnego „Kurator" o wykolejonej młodzieży (autor — Zbigniew Nienacki, reżyseria — Wojciech Malczewski). Jerzy Antczak kończy pisanie scenariusza wg „Dni i nocy" Marii Dąbrowskiej, a Roman Bratny — o powojennych losach jednego z Kolumbów (dla reż. Janusza Morgensterna). Mamy też w planach 3 dalsze seriale współczesne: o kolejarzach (wg scenariusza Zofii Posmysz), kierowcach PKS (scenariusz Andrzeja Mularczyka) i rodzinie inteligenckiej (scenariusz Juliusza Znamierowskiego). Myśli się też o przeniesieniu na ekran książki Eugeniusza Paukszty „Po burzy jest pogoda" oraz o cyklu filmowym „Wielka miłość Balzaka" (scenariusz — już gotowy — Jerzego Stefana Stawińskiego), który byłby realizowany wspólnie z jedną z firm francuskich. W dalszych planach przewidziany jest film biograficzno-muzyczny, osnuty na tle życia Chopina, złożony z 21 odcinków.

Kamena str. 10

moje LEKTURY

»jednoczyć w zaciśniętym węźle«

GŁOŚNE były przed laty poznańskie festiwale poetyckie (epidemia tych imprez bodaj w tym ma swój początek), zaś Poznań — ze względu na liczbę poetów i ugrupowań poetyckich — mógł być uznany za miasto poetów i poezji. Czasy to już odległe. Poznań dochował się pokolenia zdolnych adeptów mowy wiązanej, wiele dawnych nazwisk pozostało tylko w spisach bibliograficznych. Ocalały nieliczne: Marian Grześczak i Józef Ratajczak — między nimi.

Ratajczak jest rówieśnikiem pokolenia „Współczesności", tej najwcześniejszej, którą utożsamić można z pokoleniem debiutantów 1956 r. Niech się martwi przyszły monografista tej formacji literackiej i szuka podstaw wspólnoty czy odrębności poszczególnych pisarzy. Ratajczak pozostawał raczej w cieniu głośniejszych rówieśników i poszukiwał własnych dróg.

Tom Ratajczaka trudny jest do oceny, nie poddaje się jednej formule uogólniającej. Stanowi przede wszystkim świadectwo kryzysu słowa, poezji, poety. Problem to nienowy, postawił go bardzo krańcowo Tadeusz Różewicz widzący w literaturze współczesnej Nekropolis. Ratajczak zdaje sobie sprawę z faktu, iż słowo straciło swoją wartość, starł się jego pierwotny blask, zanikła jego dawna naturalność i konkretność. Dzisiejsze słowa to:

Wyssane resztki, śmiecie,
stare puszki,
które kiedyś rozdarto
z głodu.

Poecie towarzyszy Rimbaudowskie dążenie do kreacji przez słowo nowego świata (*Próbowałem wymyślić nowe kwiaty, nowe gwiazdy, nowe ciała, nowe języki. Wierzyłem, że mam nadprzyrodzoną władzę*).

Poeta marzy o takim słowie, które

wyparłszy drzewa spod kory,
ptaka ze skrzydeł,
świat by znów stwarzało.

Nieufność wobec słowa prowadzi Ratajczaka do zaprzeczenia wartości poezji jako sztuki. Kreacyjność postawy autora „Wygnania z mitu" polega jednak nie tyle na stwarzaniu nowych światów, co na utożsamieniu nazwy z rzeczą. *Przełożę na język rzeczy wyprane z ciała wyrazy* — to jedno z charakterystycznych wyznań. I w tym miejscu najwyraźniej uwidacznia się odrębność Ratajczaka. Słowo stanowi u niego *pars pro toto* poety, rzecz wyrażająca się poprzez słowo — świat, otaczającą rzeczywistość. W wierszach Ratajczaka ujawnia się niezwykle sugestywnie wielki subiektywizm przeżyć doznającego podmiotu. Przedmiot i podmiot nieustannie się warunkują i działają na siebie. W cyklu „Zapisy" czytamy:

Gdziekolwiek jestem, łączę w sobie wszystko,
co mnie otacza, jednoczę w spojrzeniu
bliskie z najdalszym i żywe z umarłym.

W niektórych wierszach chodzi niewątpliwie o przenikanie widzeń, o dynamizowanie i personifikowanie, czy przynajmniej animizowanie zjawisk rzeczywistości. Niektóre utwory zdają się natomiast świadczyć, iż poeta — wyrażając tęsknotę do zespolenia słowa z rzeczą — wskazuje na archaiczne pozostałości w świadomości człowieka. Świadomość owa zdaje się jeszcze być uwikłana w naturę, stanowi jej część organiczną. Warto może przytoczyć w całości niezwykle zwięzły liryk bez tytułu, bowiem próba omówienia czy zastąpienia tekstu poety innymi słowami prowadziłaby do zubożenia uzasadnienia postawy Ratajczaka. Oto on:

Ile w mym głosie
odsłaniam jeszcze skały;
każda myśl pragnie być nadal
przedłużeniem wzgórza,
ręka niewywikłana z zieleni
nie chcę się z krajobrazu odróżnić.

Zbiega się w ptaku wzrok,
ze skrzydeł w nim
pióra zostały.

Rzucają się w oczy te równoległe szeregi motywów dotyczących człowieka i natury, ich wewnętrznej opozycyjności. Ta zasada przeciwstawienia rządzi licznymi wierszami poety. Różne są tylko podstawy przeciwstawień: elementy płynne — stałym, lotne — nieruchomym (ptak — skała), rozproszeniu — scalenie.

Sposoby obrazowania, stosowane przez Ratajczaka, dadzą się wywieść w prostej linii od Przybosia. Polegają one na odwróconym niejako spojrzeniu, na przeniesieniu cech jednego przedmiotu na drugi (np. *nietoperze, przesuwające o zmierzchu las czy od oczu widok odpadał*). Wykorzystuje poeta również na sposób awangardowy wieloznaczność słowa: *czas rzekę od źródeł upłynnił* — z tym że równocześnie autor wyciąga na jaw tkwiące w słowach możliwości skojarzeniowe.

Czy więc mamy tu do czynienia z poezją „lingwistyczną", może tylko „słowiarską"? Postawa Ratajczaka daleka jest od jednoznaczności. Uważny czytelnik tomu Ratajczaka, a nawet niektórych cytatów mógł przywołać nazwisko Urszuli Kozioł — na pewno nie nadaremno. Chodzi tu raczej o równoległość dążeń, nie o ich podobieństwo.

Ratajczak daje także próby innej poezji — dyskursywnej, filozofującej, zwłaszcza w cyklach „Warianty z ziemią" i „Eseje". Intelektualizacja programowa prowadzi jednak do werbalizmu i rozwlekłości. Do zagubienia konkretu słowa. Dlatego osobliście wolę Ratajczaka z „Zapisów" i „Bez tytułu" — pozostającego na terenie czystej liryki.

Tadeusz Kłak

Józef Ratajczak: Wygnanie z mitu. Warszawa 1971. Czytelnik.

Krzyżówka nr 14

POZIOMO: 1. pisarz radziecki, piewca Kozaczyzny, 5. polski artysta malarz, twórca wielu obrazów z końmi, 8. zorganizowana wycieczka turystyczna 10. czasopismo tzw. Awangardy redagowane w latach dwudziestych przez T. Peipera, 12. zieleń na pustyni, 14. katolicki klub poselski, 15. zakład produkujący książki, 19. okres dziejowy, 20. małe drzewo, 22. najdłuższy równoleżnik, 24. czternastowieczny wybitny poeta Iranu, 25. jakość dźwięku, 26. grecka bogini rozpoczynającego się dnia, 27. szrawa konia, 28. seria wydawnicza Wydawnictwa MON poświęcona popularnym książeczkom o II wojnie światowej, 30. komedia Arystofanesa, 32. największy historyk rzymski, 34. polski kompozytor z XVI wieku, 38. republika w Afryce, 40. zwierzęta pociągowe i juczne, 42. podstępnym działaniem dąży do swego celu, 43. sułtanat na Półwyspie Arabskim, 44. najnowocześniejszy poeta polski XIX wieku 45. bajkopisarz polski XVII wieku, tłumacz Lafontaine'a.

PIONOWO: 1. współczesny pisarz i filozof francuski, 2. przepływa przez Biłgoraj, 3. wybitny rzymski polityk i pisarz-pamiętnikarz, 4. szeroka brama, 5. miasto powiatowe w woj. poznańskim, słynące z węgla brunatnego, 6. jednostka administracyjna w USA, 7. polski taniec ludowy, 9. górna warstwa atmosfery, 11. urok, 13. to, co się stało, 16. parlament polski w latach 1944—1946, 17. przełożony wyższej uczelni, 18. rzeźbiona ściana dzieląca w cerkwi sanktuarium od pomieszczenia dla wiernych, 21. miasteczko w pow. nowodworskim z ruinami zamku książąt mazowieckich, 23. poprzedza go trema, 24. pisarz niemiecki, laureat Nagrody Nobla w 1912 roku, 29. ptak z czerwonym wolem, 31. kawałek drewna o przekroju trójkąta, 33. gabardynowy lub nieprzemakalny płaszcz męski, 35. pole warzywne, 36. narząd, 37. przedmiot otaczany kultem przez ludy pierwotne, 39. 1000 cm³, 41. zbir.

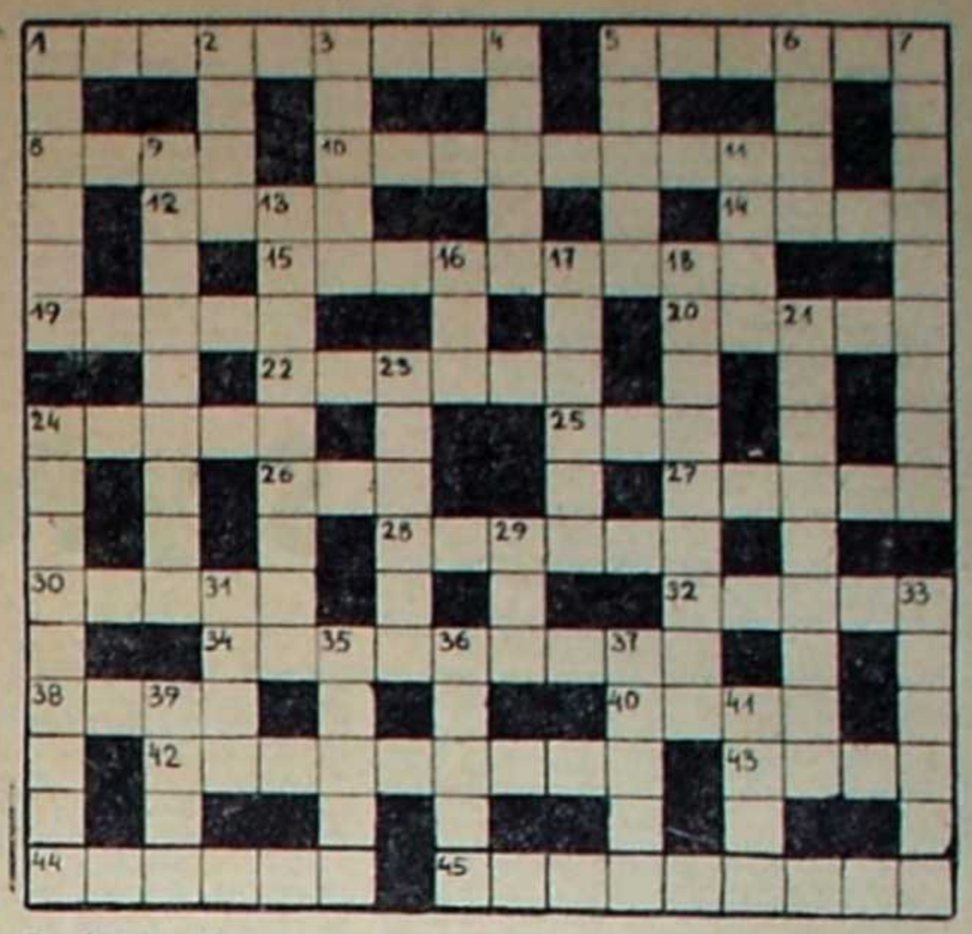

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań, rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Do krzyżówki w nr 12 wkradły się z winy redakcji dwa błędy, które uniemożliwiły rozwiązanie. Bardzo przepraszamy Czytelników, a krzyżówkę zmuszeni jesteśmy unieważnić.

Konspiracyjne pisarstwo ludowe

Dokończenie ze str. 7

Źródłem sporządzenia bibliograficznego plonu okupacyjnej twórczości ludowej stać się muszą także powojenne wydawnictwa jej zbiorków. Wydano ich sporo. Znalazły się w nich również publikowane i nie publikowane drukiem utwory z czasów wojny i okupacji. Sięgając do nich należy zwrócić uwagę na wierność w stosunku do pierwodruku. Już tylko pobieżne zetknięcie się z tymi tomikami prowadzi do wniosku, że niektórzy z autorów przerabiali swe dawne utwory. Tak np. uczynił Michał Basa, autor kolend, wierszy i tekstów do partyzanckich piosenek. Był on np. autorem tekstu piosenki „Poszedł Jędrek z śmiercią hulać". Pierwodruk jej ukazał się w zbiorku „Partyzanckim szlakiem". Zmienioną wersję jej opublikowano w powojennej antologii „Wieś Tworząca" (Lublin 1966).

Pisarzy ludowych i ich utworów było więcej niż mogła pomieścić drukowana czy powielana konspiracyjna prasa. Osobną więc grupę pisarstwa ludowego stanowią utwory powstałe dla doraźnych celów informacyjnych, wychowawczych, propagandowych. Krążyły one w odpisach, kopiach maszynowych, rękopisach, w postaci ustnych przekazów, przyklejane były na murach, płotach, drzewach, parkanach, recytowane na tajnych zebraniach, śpiewane w oddziałach partyzanckich. Nie przekroczyły one jednak bariery druku. Wydaje się, że utwory te, o ustalonym autorstwie lub pseudonimie twórcy, winny posiadać taką samą wartość jak drukowane. Istnieją np. dane, że Wilhelm Piwowarczyk, ukrywając się w podhalańskich wsiach, kolportował nie tylko tajną prasę, ale i swoje patriotyczne wiersze. Utwory Longina Jana Okonia przyklejane były na murach i płotach.

Niewątpliwie niejeden z tej grupy utworów tuła się jeszcze w rękopisach, kopiach i odpisach po szufladach i strychach mieszkańców wsi. Wiele z nich żyje jeszcze w pamięci czytelników czy autorów. Trzeba uczynić wszystko, aby z powodu naszej niedbałości nie zmarnowały się, nie zaginęły. Niemałą rolę w zebraniu tej twórczości mogą odegrać terenowe ogniwa ZSL i ZMW. Ubocznym, choć istotnym produktem sporządzenia bibliografii pisarstwa ludowego winien być zbiór biogramów twórców ludowych.

Zabiegi, zmierzające do zgromadzenia i filologicznego opracowania tekstów, stają się więc zadaniem ważnym i pilnym. Zająć się tym powinien specjalnie do tego powołany zespół ludzi.

Zdzisław Szeląg

Listy do KAMENY

„Nie wstydząc się nauki"

W maju zakończyły się wojewódzkie przeglądy zespołów artystycznych w ramach II Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych. Festiwal stał się znakomitą okazją do zaprezentowania szerszej publiczności dorobku zespołów, a także do ich wzajemnych konfrontacji. Po obejrzeniu zespołów dramatycznych i teatrów poezji nasuwa się pytanie: czy rzeczywiście mamy prawo do tak wielkiego marudzenia na repertuar dla zespołów amatorskich? Czy też po prostu wielu instruktorom nie chce się myśleć i poświęcić trochę czasu na pracę nad materiałem twórczym? A może zapomnieli o tym, lub po prostu nie potrafią? Po każdym przeglądzie padały pod adresem instruktorów postulaty o konsultowanie swych prac. Niestety, po słowach apelu spłę ogarniała „grobowa" cisza. Sytuację próbował ratować Wojewódzki Klub Instruktora. Niestety, też bez echa. Może dlatego, że w podsumowaniach roboczych uczestniczyło tylko kilku instruktorów i to w większości zespołów „laureatów", reszta to kierownicy placówek i przedstawiciele związkowi, którzy nie byli twórcami prezentowanych przedstawień, tylko tworzyli „reprezentację". Nic też dziwnego, że często rozmowy miały charakter „sobie a muzom".

W eliminacjach zespołów dramatycznych województwa lubelskiego wzięło udział 13 zespołów, które zostały wybrane podczas 28 przeglądów branżowych. Poziom reprezentowanych przedstawień był nierówny.

Tytuły laureatów zdobyły: Teatr Jednego Aktora Domu Kultury Kolejarza w Lublinie za program „Z peregrynacji sowizdrzalskich", według scenariusza i reżyserii Stanisława Dąbrowskiego, Teatr Komedii „TOR" DKK Lublin za sztukę Tuwima „Porwanie Sabinek" w reżyserii Henryka Łabuńskiego, i monodram pt. „Stary", według opowiadania J. Kawalca, w wykonaniu Wojciecha Krzyszczaka z Cukrowni Lublin.

Natomiast bardzo niespokojne o losy świata i ludzkości okazały się teatry poezji. Występowały jedne po drugich racząc publiczność poezją „zaangażowaną". Określenie wyszukane, ostatnio bardzo modne, mało znaczące, jednokierunkowe. A więc: protesty antywojenne, przypominające martyrologię Polaków w czasie II wojny światowej, które w wykonaniu nastolatków wcale nie przekonywały, a częściej przypominały okolicznościową część artystyczną akademii, aniżeli tragedię tamtych dni. Dlatego też odetchnięto z ulgą i uwierzono w prostotę słów poetów regionalnych, wesołych pieśni i tańców, jakie zaprezentował Teatr „TOR" Domu Kultury Kolejarza w Lublinie w programie poetycko-folklorystycznym pt. „Urodą ziemi opętani". Widowisko, pomyślane jako wiejska biesiada majowa, znalazło odbiór u wszystkich widzów. Było przypomnieniem pięknego zwyczaju na wsi lubelskiej, kiedy to w wieczory majowe zbierali się dziewczęta i chłopcy w wiejskiej chacie, śpiewali i opowiadali o miłości, a żartom i tańcom nie było końca do północy. Autorem scenariusza i reżyserem spektaklu był Stanisław Dąbrowski.

Ponadto laureatami zostały: zespół „Wersety" z Klubu ZZK w Chełmie, który wystawił spektakl „Sądzenie Boga", i „Temafor" z ZDK FSC prezentujący „Noc cudów".

Podwójny sukces w obu przeglądach jednego z najmłodszych instruktorów teatralnych Lublina, studenta II roku Studium Teatralnego COK, Stanisława Dąbrowskiego, wzbudził nawet pewne wątpliwości u instruktorów. Sprawę jednak szybko się wyjaśniła. Był on jedynym, który pokusił się poprosić kolegę fachowca o konsultację obu przedstawień. Koleżeńska przysługa przyniosła laury nie tylko w przeglądzie festiwalowym. Prezentując oba programy na III Konfrontacjach Teatralnych w Gorzowie Wielkopolskim w ramach Związku Zawodowego Kolejarzy w dniach 5—9 V br., zespół zdobył „Złote skrzydełka" PKP.

Kierownik Domu Kultury Kolejarza w Lublinie

mgr G. Klementowicz

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 33

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1818. 16.VI.71. 9.261. A-3

Pożyteczna „Kronika"

Jak dotychczas największa inwestycja Lubelszczyzny — puławskie Azoty — stała się motorem czy tematem dwóch książek. Najpierw ukazały się reportaże Romualda Karasia, ukazujące różnych ludzi tej wielkiej budowy, konflikty, powstające bezpośrednio lub pośrednio w związku z budową kombinatu.

Książka Anny Radczak-Mańkowskiej * jest zupełnie inna. Sugeruje to zresztą sam tytuł, chociaż niezupełnie słusznie. Bo jakkolwiek zamysłem autorki było niewątpliwie pokazanie kolejnych faz budowy i uruchamiania tego potężnego kombinatu, to przecież liczne odstępstwa od tej zasady powodują, że „Kronika nie jest tylko suchą kroniką.

Historia Zakładów Azotowych w Puławach znalazła dość wierny obraz w całej prasie polskiej, naturalnie w lubelskiej szczególnie. Radczak-Mańkowska niezwykle pracowicie zebrała, dokonując starannej selekcji, fragmenty dziennikarskich informacji, reportaży, artykułów publicystycznych i innych form. Materiał ten czytamy na bieżąco, odkładamy gazetę, wyrzucamy ją i zajmujemy się innymi problemami, które nam niesie dzień bieżący.

Fragmenty tych dziennikarskich materiałów —które bardziej dociekliwy czytelnik lub historyk będzie mógł teraz odnaleźć bez trudu — są jednak tylko uzupełnieniem własnych zapisów, osobistych doznań na budowie i w fabryce, spotkań, rozmów, obserwacji. Część z nich jako wynik reporterskiej pracy dziennikarki ukazywała się w ciągu lat w „Sztandarze Ludu". Teraz, usystematyzowane i uzupełnione, powiązane brakującymi czasem ogniwami, stanowią zwartą całość, dającą obraz niełatwych zmagań dziesiątków, a przez nich nawet setek i tysięcy ludzi, przez wiele lat walczących uporczywie z ziemią, powietrzem, betonem, stalą i wielu innymi trudnościami, których nigdy nie brakuje przy realizacji tak wielkiej inwestycji.

(d)

* Anna Radczak-Mańkowska: „Kronika budowy puławskich Azotów". Wydawnictwo Lubelskie, 1971, str. 212, zł 20.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Jeśli ktoś przypadkiem ośmielił się myśleć — o ile to w ogóle można byłoby nazwać myśleniem — że Klub Epigonistów przestał istnieć lub choćby tylko działać, a więc jeśli ktoś ośmielił się tak niecne snuć domniemania, to doprawdy w wielkim jest błędzie. Od Prezesa i członków otrzymaliśmy szereg interesujących propozycji, którymi zajmiemy się innym razem. Tu jedynie — ku naszej chwale — przedrukowujemy gratulacje p. K. Ł. z Bielawy: „pozwalam sobie przesłać gratulacje z okazji osiągnięcia"... — o pardon! — to już publikowaliśmy z racji identyfikacji Szefa. O co innego idzie: „Do najbardziej pouczających — pisze p. K. Ł. — zaliczam wzruszającą historię o Ludmile i nauczycielu Henryku Kowalskim..." Dziękujemy. Autor wzruszył się tak bardzo, że sam przesłał „owoc swych rozmyślań nad heteroseksualnymi kontaktami istot ludzkich":

EROTYK KWIETNY
Przyjmij
fijołka
od matołka
resztę
moje serce
dotka.

EROTYK BEZNADZIEJNY
Dzień
bez ciebie
to kalesony
wypełnione
pustką.

EROTYK WYŚCIGOWY
Gonię
nagrodę
wprost z twoich dłoni
tłok w peletonie.

Całkiem udany tryptyk-erotyk. To jeszcze remanenty majowe, a ostatni utwór o Wyścig Pokoju nawet zahacza. Pa!

Kamena str. 11

Sny Polaka z teczką

ONGIŚ KTT wykpił w „Kulturze" przeciętnego Polaka za to, że od rana do wieczora chodzi z teczką, jak żaden mężczyzna innej nacji. Jest to, jego zdaniem, maniera, zgrywanie się na ważnego urzędnika, a tymczasem teczka psuje harmonię sylwetki. Od tamtej pory w kręgach ludzi o aspiracjach światowców człowieczek z teczką uchodzi za głąba. Pewna młoda aktorka lubelska oświadczyła memu koledze, że chętnie by się z nim spotykała, gdyby nie zjawiał się zawsze z wypchaną aktówką pod pachą.

A tymczasem Polak nosi teczkę bo musi. Nie pomogą grymasy KTT, ani też rysunki w redagowanych przezeń „Szpilkach" (opis dziecka przyszłości: a) berecik, b) „Sport", c) ortalion, d) automatyczny krawat na gumce, e) „Poliot", f) teczka, 1/2 basa, salceson, ogórek, g) obuw). Polak niesie ze sobą drugie śniadanie, gdyż w znacznej części zakładów pracy brak jest bufetów, w których można coś szybko, tanio i smacznie przekąsić. Do teczki zabiera się też często różne papiery i dokumenty służbowe; większość ludzi na średnich i wyższych stanowiskach ma wciąż jakieś narady, spotkania, zebrania itd. Życie publiczne Polaka nie kończy się o godz. 15. Kształci się on w szkołach i na uniwersytetach, uczęszcza na różne kursy, działa w organizacjach politycznych, stowarzyszeniach kulturalnych, klubach sportowych i turystycznych itd., itd. Nosi więc też ze sobą różne rzeczy związane z tą działalnością lub nauką. Wychodzi z domu rano i wraca późnym wieczorem.

Mnie osobiście człowiek z aktówką nie razi, widzę w nim po prostu kogoś zaaferowanego, obarczonego obowiązkami. Prawdą jest natomiast, że istnieją warunki do odciążenia Polaka od teczki, tylko my z nich nie zawsze korzystamy. Choćby urządzenie bufetów z treściwymi przekąskami. Nie tylko w większych zakładach pracy i biurach, ale także w małych, jak to zrobili Czesi czy Węgrzy. Ich przedsiębiorstwa gastronomiczne mają bufety na samochodach i rozwożą nimi gorące dania. O 9.30 np. taki bufet przyjeżdża do jednej firmy i w ciągu 5—10 minut sprzedaje owe posiłki w tekturowych miseczkach. O 9.45 karmi się następną instytucję, o 10 jeszcze następną itd. Tak wzmocniony urzędnik czy robotnik pracuje o wiele wydajniej, jest milszy, pogodniejszy. Treściwe drugie śniadania zaczęto u nas po grudniu na szerszą skalę serwować w dużych przedsiębiorstwach, ciężko pracującym fizycznie robotnikom. Dlaczego jednak ograniczono się do tego? Czy kreślarz w biurze projektów, sprzedawca w domu towarowym lub asystent na uczelni to inni ludzie

Inna sprawa warta chyba rozważenia to godziny pracy. Tam, gdzie są dwie lub trzy zmiany, pierwsza rozpoczyna się na ogół o godz. 6. I tu nic się nie poradzi. Lecz jakie są przyczyny rozpoczynania pracy o godz. 6 lub 7. przez tyle jednozmianowych zakładów, urzędów i instytucji? To było najlepsze w epoce kaganka: wstać skoro świt, bo już można coś robić, a wieczorem kłaść się o zmroku, bo cóż można zdziałać przy kaganku? Tymczasem nikt dotychczas nie dowiódł, że jest to zgodne z naturalnym rytmem biologicznym człowieka. Mimo setek lat nawyków, większość ludzi lubi sobie rano dłużej pospać. Twierdzenie, że wcześniejsze kładzenie się wieczorem jest zdrowsze, odnosi się do tych, którzy późniejszego położenia się nie mogą zrekompensować porannym snem.

Dziś przeciętny Polak kładzie się spać później niż kiedykolwiek dotychczas. Elektryczność pozwala na równie intensywne wykorzystywanie dnia jak i wieczoru. Rozwój życia społecznego, kulturalnego i sportowego, rozwój motoryzacji i komunikacji, a przede wszystkim telewizja zachęcają, niemal zmuszają do późnego kładzenia się. Niestety, pracę rano rozpoczynamy o tej samej porze, o której rozpoczynano w erze dwunastogodzinnego dnia roboczego. Polak z reguły jest więc niedospany, a zatem zmęczony, zły, mało wydajny w pracy. Często — gęsto nie zdąży zjeść w domu, więc zawija kanapki w papier i biegnie do autobusu. Iluż mężczyzn nie goli się co rano właśnie z braku czasu! Rekordowo rośnie spożycie kawy. Taki niedospany facet po jednym piwie bywa już nietrzeźwy.

Marzenia o odrobieniu zaległości w niedzielę spełzają na niczym. Wycieczka zakładowa do lasu czy nad wodę wyznaczona jest też na 6 czy 7 rano. Uczestnicy wyruszają objuczeni torbami i termosami jak wielbłądy. Ledwie zajadą, rzucają się do jedzenia, potem rozkładają koce, śpią lub idą do wody z pełnym żołądkiem — i topią się. Jeszcze dwie — trzy godziny, zjadają obiad i — patrzcie państwo, już 15. — zmęczeni podróżą i dniówką na świeżym powietrzu szykują się do powrotu. Wyjeżdżają za wcześnie, wracają za wcześnie.

Godziny pracy są u nas prawie wszędzie jednakowe, podczas gdy w całej Europie zróżnicowane i dostosowane do wielkości miast, odległości, które muszą pokonać ludzie w drodze z domu do przedsiębiorstwa, klimatu itd. W krajach południowych w małych miasteczkach pracuje się latem od godz. 8 do 12, a potem od 16 do 19. Cztery godziny przerwy obiadowej wystarczą na powrót do domu, spożycie posiłku, dwie godziny snu i ponowne dojście do biura czy warsztatu. W regionie śródziemnomorskim w czasie upałów jakikolwiek wysiłek w porze obiadowej wymaga wiele samozaparcia. Ale już w metropoliach tego obszaru nie robi się takich przerw, ludzie mają za daleko do domów, wyjście jest tylko w klimatyzacji czy choćby dobrej wentylacji miejsc roboczych. Oczywiście, przy takim rozkładzie dnia pracownik ma po południu mniej czasu dla siebie, ale wiadomo, iż człowiek w lepszej formie, w krótszym czasie zrobi więcej, niż zmęczony czy osłabiony — w dłuższym. Prywatni pracodawcy dążą jednak przede wszystkim do tego, by ludzie zjawiali się w miejscu zatrudnienia w stanie maksymalnej wydajności. Nam powinno na tych sprawach zależeć głównie z powodów zdrowotnych, aczkolwiek względy produkcyjne są też nie do pogardzenia.

Zdaję sobie sprawę, że nie wszystkim uśmiechałaby się zmiana dotychczasowego rozkładu dnia. Liczna rzesza chłopo-robotników gotowa jest kosztem snu rozpoczynać pracę o świcie, by jak najwcześniej wracać na swoje poletka. Biorąc to pod uwagę, nie można jednak zapominać, jakie ponoszą oni szkody na zdrowiu. Ale to dotyczy głównie starszego pokolenia. Młodzież wcale nie zachwyca się koniecznością wyścigu z kogucim pianiem.

Polakowi z teczką można by ulżyć skróceniem czasu dojazdu do pracy. U nas dla wielu ludzi wydłużył się on wyłącznie ze względu na trudności mieszkaniowe. Iluż ludzi pracuje na jednym krańcu miasta, a mieszka na przeciwległym, choć w pobliżu ich zakładu są osiedla mieszkaniowe? W Lublinie wielu pracowników FSC mieszka w osiedlu LSM czy Zachód, kolejarze z Kalinowszczyzny dojeżdżają do pracy na dworzec, mieszkańcy Bronowic pracują na Wrzosowie itd. Codziennie ludzie jeżdżą z Lublina do Świdnika i ze Świdnika do Lublina. Są tacy, którzy ponoszą te niewygody dobrowolnie, i ulegli na równe przywiązanie do miejsca pracy i do dzielnicy, w której mieszkają. Jednakże wielu zgodziłoby się na przeprowadzkę w pobliże miejsca swej pracy, gdyby nie była ona tak skomplikowana.

Jednak zamiana mieszkania obłożona jest tyloma warunkami, że decydują się na nią jedynie ci, których przypiliła niezbędna potrzeba. Prawdą jest, że zazwyczaj osoba oddająca większe mieszkanie otrzymuje od swego kontrahenta także pewną sumę pieniędzy. Są to transakcje nielegalne, przeprowadzane potajemnie, jako że jedna i druga strona mieszkają w państwowym lub spółdzielczym budynku, czyli nie swoim własnym. Biura zamiany mieszkań ściągają więc od swych klientów nie tylko zwrot kosztów pośrednictwa i ewentualny zysk, co jest zrozumiałe, ale także słony haracz na rzecz komitetu czynów społecznych czy też innych celów. Skoro bowiem wiadomo, że za zamianą kryje się transakcja finansowa, prawie niemożliwa do ujawnienia, a więc i opodatkowania, należy w inny sposób zadość uczynić fiskusowi.

Niestety analogicznie traktowani są amatorzy zamiany jednakowych mieszkań. Wobec tego jeśli nawet ktoś nosi się z zamiarem zamiany mieszkania tylko ze względu na miejsce pracy, to po zapoznaniu się, ile będzie musiał ponieść fatygi przy załatwianiu tej sprawy (puchną teczki od dokumentów) i ile zapłacić — rezygnuje. Więc nadal jadąc rano do pracy na drugi koniec miasta pakujemy do teczki kanapki z szynką (przywiezioną poprzedniego dnia z tego drugiego końca miasta) i termos z herbatą.

Sam zresztą dźwigam codziennie taką grubo wypchaną tekę. Bez niej trudno byłoby dać sobie radę. Pocieszam się, że mój redaktor naczelny chodzi z grubszą. Inna sprawa, że ani ja ani on nie bylibyśmy w stanie wyliczyć wszystkiego co w niej mamy, ani też powiedzieć, czy musimy to nosić ze sobą codziennie.

Wiktor Łoboda

MINUTA MYŚLENIA

Aby do maja

SZKODA, że skończyły się już Dni Oświaty, Książki i Prasy. Mimo znacznych wymagań, jakie nałożyły na każdego bez mała pracownika kultury, każdego jej producenta i dystrybutora, nie jest przesadą wyrazić żal za upłynionym szybko majem. Nie tylko gwoli akompaniamentu dla znanej piosenki o upływającym szybko życiu. Owszem, bywały niewygody podróży, niedotarcia organizacyjne, a nawet trudności ze zdobyciem audytorium zajętego wieczornym obrządkiem. Ale jakże urocze i z nadwyżką skompensowane gałązką kwitnącej wiśni i rechotem żab, jeżeli rzecz miała miejsce — a na ogół tak bywało — w scenerii późnego wieczoru.

Przede wszystkim mieliśmy możność odetchnąć od urzędniczego traktowania spraw kultury. Sformułowanie to wygląda tak, jakby zawierało ukrytą złośliwość pod adresem pracowników resortu, którym się przypina pejoratywną etykietkę „urzędas" w przeciwieństwie do honorującej „działacz". Nic jednak podobnego w intencji. Na odwrót właśnie przy takiej okazji warto i należy podkreślić, że etatowy pracownik resortu to też działacz we właściwym tego słowa znaczeniu, że nie wszystkie jego zasługi obejmuje pokwitowanie miesięczną pensją, że często poza zakresem swych — jakże luźno w dodatku określonych — obowiązków wykonuje wiele pracy już nie kwitowanej niczym, bo nawet słowem uznania. Spójrzmy np. jak niewielu urzędników resortu kultury posiada odznakę zasłużonego działacza. To nie przez to, że nie zasłużeni. Ta prawda niech od czasu do czasu znajdzie miejsce na szpalcie.

Ale mówiąc o „odurzędniczeniu" mam na myśli już ten całkiem swobodny „amatorski" tryb postępowania, nadający działaniu państwowemu cechy turystycznej wycieczki. To znaczy eskapady z powziętym przeświadczeniem, że plany, i uzgodnienia, i harmonogramy raczej rozminą się z realną rzeczywistością, ale że okoliczność ta nie przeszkodzi ani we właściwym spełnieniu zadania, ani w krystalizowaniu się dobrego humoru.

Dni Oświaty, Książki i Prasy są jedną z tych okazji, kiedy nie wiadomo kto więcej korzysta: dostawca czy odbiorca dóbr kultury.

No i ta nieoceniona ewentualność nieprzewidzianych i mimowolnych happeningów! Jeśli wolno w tym względzie podzielić się fragmentem własnego doświadczenia, służę uprzejmie.

Pojechałem do Lubartowa, skąd miałem zostać wywieziony dalej na spotkanie. Autokar „Nysa" w doskonałym stanie, będący cennym nabytkiem tamtejszego PDK. Ale nie jedziemy. Dlaczego? Ponieważ oczekujemy na mającego przybyć Wacława Gralewskiego. Serce mi skoczyło do gardła: spotykam się z autorem „Stalowej tęczy"!

Niestety, autor nie przybył, więc niepocieszeni ruszyliśmy sami. W miejscowości, której nazwa wyleciała mi już z pamięci, „odbyłem" swoją rzecz i zabrałem się do oczekiwania na autokar, który jeszcze dalej zawiózł koleżankę. I nie wraca. Ledwie jednak powrócił, pękła prawa piasta przedniego koła. „Koła koła sioła" — przychodzi mi na myśl Józef Czechowicz. Całkiem nie à propos. Ale skądże ma się coś kojarzyć, skoro nastąpiło takie rozkojarzenie w środkach mających zagwarantować mój bezawaryjny powrót do domu? Proszę sobie wyobrazić: jedenasta wieczorem, a więc na wsi głucha noc, ledwie gdzie tylko nikłe światełko tym bardziej podkreślające głuszę. W dodatku te dwadzieścia kilometrów do najbliższego miasta. Co jednak za energiczny, a przy tym w czepku urodzony szofer! Znalazł się motocykl, znalazła się piasta, znalazła się pełna sprawność PDK-owskiego autokaru „Nysa". Kosztowało to wprawdzie parę godzin i już bladym świtem zawitałem do domu, ale z kolei dostąpiłem zaszczytu jazdy z szybkością 120 km/godz., co wobec istnienia MO jest rarytasem. No a przez cały czas czekania koncert, za który nie zapłaciłem ani grosza. W wykonaniu przodujących lubartowskich żab.

Tak więc pochwalona niech będzie instytucja Dni Oświaty, Książki i Prasy! Pamiętam również opinię na ten temat nieodżałowanej pamięci Włodzimierza Chełmickiego. A było to tak:

Jest majowy, naszywany słowikami i bzem wieczór. Światła z otwartych okien szkoły jak smugi samochodowego reflektora suną na drogę. Podjeżdżamy samochodem oczekując pana Włodzimierza, który kończy prelekcję i sadowi się na siedzeniu. Pytam — co i jak.

— A, spotkanie? Wspaniała rzecz. Można się wreszcie wygadać. Człowiekowi się wydaje, że jest dowcipny i jeszcze mu za to płacą.

Ijon

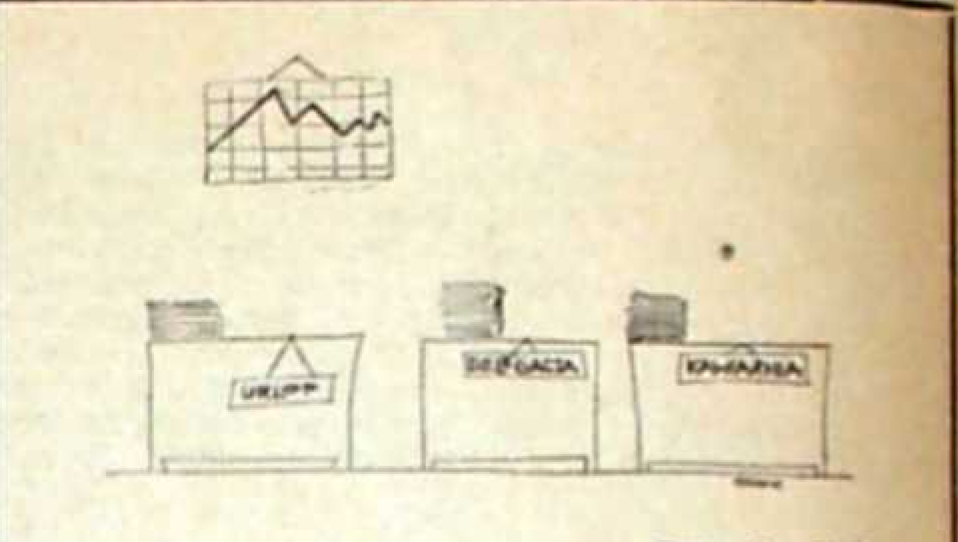

Rys. A. Stok

FELIETON Z REZERWY

Zdrowy rozsądek...

ZWRACAM się do Państwa z prośbą o wyrozumiałość dla sprzedawczyń. Sam zostałem przez jedną obsztorcowany zdrowo, gdy zacząłem grymasić przy wyborze detalu galanteryjnego, czyli bez powodu. I choć lubię za własne pieniądze być uczciwie obsłużony, w milczeniu przełknąłem niegrzeczne słowa. Na dworze było 25 stopni ciepła w cieniu, w sklepie z 10—15 więcej. Siódme poty oblały mnie zaraz po wejściu do wnętrza. A ona, bidula, ta sprzedawczyni, stała tam cały dzień.

Kobiety, jak wiadomo, gorzej znoszą upały niż mężczyźni. U nas zaś personel sklepowy w całości prawie składa się z kobiet.

Podczas upałów stojące, nagrzane powietrze, przesiąknięte zapachem skór, odzieży, chemikaliów czy innych wyrobów, przyprawia o mdłości. W takim zaduchu pracują setki sprzedawczyń lubelskich, skracają sobie tym życie, skracają młodość, niszczą zdrowie i urodę. Tak, tak! Nie bójmy się wielkich słów. Problem jest wielki, może trudny do rozwiązania, ale możliwy do zmniejszenia. Nie stać nas na klimatyzację, lecz stać na wentylatory biurkowe czy gabinetowe. Stać na otwarcie okien, bo wyłącznie wentylatory, mielące w kółko to samo powietrze, niczego nie załatwią. W „Bazarze" LSS przy ul. Lubartowskiej, w czasie największych upałów nie było otwarte ani jedno okno. Radbym dowiedzieć się, jaka temperatura panowała wtedy w biurach Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Handlu i Spółdzielczości?

W Polsce dlatego mówi się o urokach wiosny, lub pięknej złotej jesieni, bowiem wtedy zazwyczaj najmniej dokucza temperatura. W szkole uczono nas, iż żyjemy w klimacie umiarkowanym. Praktyka nie pokrywa się z teorią. Zimą zdarza się, że termometr spada poniżej 20 stopni Celsjusza. Na to jesteśmy jakoś przygotowani, dajemy sobie radę. Latem bywa niejednokrotnie powyżej 30 stopni ciepła. Według mnie lato jest najpiękniejszą porą roku, lecz tylko wtedy, gdy jesteśmy do niego przygotowani. Ale na ogół nie jesteśmy.

Czytelnia Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy w Lublinie jest widna, czysta, elegancka. Cóż z tego, skoro okna nie dają się otwierać? Nowy budynek PDT przy ul. Osterwy zaplanowany został bez możliwości wietrzenia parteru i z niedostatecznym tylko przewiewem na piętrach. Podobnie jest w dziesiątkach innych sklepów i zakładów usługowych. Mdleją z niedotlenienia fryzjerki. Starą zasadą „zdrowszy smrodek niż chłodek" objęci są przymusowo prawie wszyscy pacjenci szpitala przy ul. Jaczewskiego. Zdjęcia wielkich tafli okien tego szpitala, którym się tak chlubimy, obiegły całą prasę krajową. Lecz co się dzieje w tych nasłonecznionych salach w upalne letnie dni!!! Po zaaklimatyzowaniu się tam, nawet piekło nie powinno nikomu być straszne. W takich warunkach ani leczyć się, ani wypoczywać, ani jeść.

Bogu dzięki jestem zdrowy. Na obiad wybrałem się do „Europy". O godz. 14, gdy słońce paliło we wszystkie okna restauracji, kelnerzy, przyodziani w granatowe garnitury, w zapiętych pod szyję koszulach, w muszkach, z parującymi talerzami w rękach, snuli się po salach półprzytomni, pot im ciekł po twarzach. Wolałbym obsługę mniej wytworną, wystarczyłyby zwykłe płócienne, białe kitle, nie wyciskające z człowieka tak dużo wilgoci. Byle były czyste. Myślę, że wystarczyłyby i innym bywalcom. Dziś nawet przysłowiowy szewc w Boże Ciało chodzi w tropiku. Jedynymi obok kelnerów ludźmi jakich spotykałem w „Europie" w południe na czarno i sztywno, była duża grupa lekarzy. Początkowo myślałem, że wracają z pogrzebu jakiegoś eskulapa i odbędą stypę. Potem kelner wyjaśnił mi, że w Lublinie odbywa się właśnie zjazd lekarzy, ale nie higienistów, tylko otolaryngologów, zatem mogą się pocić. A może w swojej nowoczesnej klinice przyzwyczaili się do atmosfery tropiku? Kelner nie był przyzwyczajony. Pochylił się lekko i wtedy dwie tłuste krople z jego czoła spadły mi do zupy. I to był dla mnie wstrząs, bo właśnie się odchudzam.

Paliwoda

NOTY i notki

Poniższą wiadomość „Kultura" (nr 25) zamieściła bez komentarza: „114 komitetów naukowych PAN przygotowuje raport o stanie nauki polskiej, który zostanie przedłożony w I połowie 1973 roku II kongresowi nauki polskiej". Rozumiem, że sprawa jest bardzo ważna i trudna, ale żeby aż 114 komitetów pracowało nad tym ponad 2 lata?

„Licealiści piszą" — pod tym ogólnym tytułem „Życie Literackie" (nr 25) wydrukowało m. in. opowiadanie Jana Zazuli pt. „Górskie plemię hippiesów", co niewątpliwie świadczy o szerokich zainteresowaniach naszej młodzieży. Najważniejszy epizod opowiadania jest nawet opisany z pewną dyskrecją: „Potem już tylko pragnął dawać jej to wszystko, czego nie chciała ta pierwsza, czego nie zdążył jej dać, i był przecież szczęśliwy, kiedy później Maga, rozgrzana i ufna, zasypiała na jego ramieniu". Mam nadzieję, że zarówno autor tego opowiadania jak i inni licealiści będą mieli bardziej realistyczny pogląd na pewne sprawy po przeczytaniu podręcznika Kąkolewskiego o hippiesach amerykańskich, drukowanego pracowicie w „Kulturze".

Co to jest kobiecość? Ba — nie tak łatwo powiedzieć, chociaż wszyscy wiedzą o co chodzi. A co to jest kobiecość w literaturze? Na to pytanie Krzysztof Nowicki tak odpowiada w „Tygodniku Kulturalnym" (nr 25): „Pozostaje więc proza pojęta jako sztuka dosłowności. Proza, którą kobiecość zmienia w skrzętny notatnik, dziennik zmęczonego gotowaniem obiadu serca. Proza pojęta jako kompromis fabularnego instynktu ze zdrowym rozsądkiem, który prowadzi do przeciętności. Przyjrzyjmy się bliżej niektórym mechanizmom psychologicznym i artystycznym, które ujawnia podobna twórczość". Przyjrzałem się i mechanizmy, którymi posługiwał się autor, wydały mi się mocno zardzewiałe.

Na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie jury obradowało w obecności widzów, rzecz chyba bez precedensu. Leon Bukowiecki („Tygodnik Demokratyczny" nr 25) tak o tym pisze: „Jury dyskutowało publicznie nad nagrodami. Zapewne przez to publiczność przyjęła je spokojniej, wiedząc właściwie już nie tylko jakie nagrody przyznano, ale i w jaki sposób". O tym samym Wojciech Wierzewski w „Tygodniku Kulturalnym" (nr 25): „Jury tym razem obradowało jawnie, narażając się (rzeczywiście) na huraganowe krzyki i gwizdy dziewięciuset kinomanów, twórców i krytyków... Publiczność bezlitośnie karciła „drętwą mowę" jurorów, zmuszała do rzeczywistej dyskusji, gorąco nagradzała oklaskami przekonywające motywacje". I pomyśleć, że obaj panowie rzekomo siedzieli w tym samym czasie w tej samej sali.

Wygląda na to, że sąsiedzkie „Profile" z Rzeszowa cierpią na nadmiar papieru. W każdym razie Jerzy Biernat, zajmujący się „opracowaniem graficznym i technicznym", bardzo rozrzutnie gospodaruje powierzchnią. Np. w nr 6 spis treści (26 pozycji) zajmuje całą stronę miesięcznika, na str. 8 — połowa to białe plamy, to samo na str. 24, na str. 29 tytuł i nazwisko autora zajmują ponad połowę, str. 38 — tytuł i nazwisko autora trzy czwarte strony, str. 60 — ponad połowa pusta itd. itd. Rozumiem dbałość o wygląd graficzny — ale to już wielka przesada.

Do „ITD" najczęściej miałem różne pretensje. Tym razem mam pełne uznanie za zamieszczenie artykułu „Klub powinien być aktualny" Stanisława Zarzeckiego. Tytuł nie grzeszy pomysłowością, ale jedno zdanie zasługuje na utrwalenie: „Jeśli ktoś powie, że jest wielu złych kierowników, świadczy to, że złe są instancje, które ich zatwierdzały".

Jak wiadomo „Hrabina z Hong-Kongu" to — mimo Chaplina, Loren i Brando — okropny kicz. Pani Ewa Berberyusz w „Dookoła świata" (nr 25) słusznie pisze na początku recenzji: „...jest bowiem „Trędowatą", tyle że na światową skalę", ale kończy ową recenzję kategorycznym wezwaniem: „Koniecznie zaliczyć!". No i jeszcze trochę, a pani Ewa każe zaliczać młodzieży, dla której pismo jest drukowane, „utwory" pani Courths-Mahlerowej, Urke Nachalnika i Antoniego Marczyńskiego. A ponieważ najczęściej nie ma ich w bibliotekach, podejmie akcję reedycji tych arcydzieł literatury.

Rzecz bez precedensu. Pociąg z Chełma przyjechał do Lublina z opóźnieniem, wobec czego DOKP wynajęła autokar na własny koszt i przewiozła kilkudziesięciu pasażerów do Warszawy, ponieważ stracili połączenie w Lublinie. Chwała kolei. Ale co będzie, jeżeli rozbestwieni tym pasażerowie wielu innych pociągów, które też się spóźniają, zechcą również być tak obsłużeni? Kolej albo zbankrutuje, albo wreszcie zacznie dbać o przestrzeganie rozkładu jazdy.

JOD

W 24 numerze „Polityki" Zygmunt Kałużyński pod tytułem „Jak skompromitowałem się w Krakowie" opowiada o swoich perypetiach jako jurora festiwalu filmowego. Tytuł posiada znaczenie przenośne do momentu, kiedy wskazanie spacerowania w czasie rozmyślań Kałużyński przypisuje Platonowi. Czyżby mało mu było całej szkoły Arystotelesa, która swą nazwę „perypatetyków" otrzymała od czasownika, znaczącego właśnie — przechadzać się?

MIK

Odpowiedzi redakcji

W. K. w Lublinie. Ponieważ jest Pan człowiekiem na tyle dojrzałym, iż przyszło Panu wypełnić męską powinność wobec ojczyzny, przeto stawiamy sprawę otwarcie, licząc, że niezbyt krzepiąca prawda nie załamie Pana. Otóż poprzednie zabawy w literaturę musi Pan potraktować jako o niczym nie świadczące figielki, bo tym właśnie były, z prawdziwym pisarstwem nic nie mające wspólnego. Czegoż możemy życzyć? Pomyślnych rezultatów w szkoleniu, dostania się na studia i powodzenia w sprawach sercowych. No i może trochę więcej lektur współczesnej poezji.

E. S. w Koszalinie. Widać, że nie czytuje Pani pisma na którego łamach zamierza Pani publikować swoje wiersze. A w każdym razie nie czytuje Pani tej rubryki. Odpowiadaliśmy już ongiś, iż teksty zasadniczo zyskały naszą akceptację oraz że myślimy o ich publikacji. Tylko termin — jak zwykle — trudny do określenia wobec nawalnicy poezji. Pozdrawiamy.

J. S. N. w Rzeszowie. Niestety i tym razem nie skorzystamy. Coś w tym musi być — jak Pan sądzi? Zasypywanie nas kolejnymi listami niewiele tu może zmienić.

L. P. w Gliwicach. Istotnie, tekst nie wymaga komentarza. Może zamieścimy go tam, gdzie „będzie mile widziany". Zalecamy ponadto lekturę Gałczyńskiego.

Z. P. w Ławkach. Przede wszystkim poprzez studia — takie czy inne — nie wiedzie droga do odpowiedzi na te pytania. Gdyż w ogóle są to kwestie, nad których rozwiązaniem setki już lat biedzą się wytrawni historycy i filozofowie. Bez skutku — jak dotąd. Tak samo literatura nie daje tu rozstrzygnięć zadowalających. Nadesłane teksty bardzo naiwne. Niestety, w tym na razie wyczerpuje się nasza ocena. Naiwność przechodzi z wiekiem, trzeba tylko cierpliwości, a że wraz z naiwnością przechodzi często chęć do pisania, to już inna sprawa i nie nasza wina. Bądź co bądź, chętnie usłyszelibyśmy coś o Tobie, gdy już będziesz — powiedzmy — na trzecim roku studiów. Pozdrawiamy.

J. J. M. w Lublinie. Podejrzewamy, iż Pan nas trochę chce skokietować, trochę sprowokować i nieco, być może, okpić. W każdym razie znać, że wiersze te pisał ktoś posiadający pewne rozeznanie w sprawach literatury współczesnej, a zrazem ktoś, komu kpinki w głowie. Druga sprawa — mieszka Pan w Lublinie, więc z pewnością orientuje się Pan, jakim sposobem i gdzie można nawiązać kontakt z wiadomą grupą młodych poetów. Trzecia sprawa — osobista Pańska wizyta w redakcji rozwiałaby chyba nasze, być może — niecne, podejrzenia co do powagi Pańskiej intencji.

A. M. (nie podany adres zamieszkania). Tekst związany z „Panem Tadeuszem" nie wydał nam się interesujący, choćby ze względu na to, że brak w naszym piśmie tradycji dla druku tego rodzaju prób. Sądzimy po prostu, że mimo wszystko nie jest to gatunek interesujący naszych czytelników. Natomiast w „Pojedynku" znajdujemy sprawę godną opowiadania. Tyle tylko, iż rzecz jest — jak to się popularnie mówi — przegadana. Pan chce wszystko dopowiedzieć, zostawiając niewiele do myślenia czytelnikowi. Rozpycha Pan narrację niby — „głębokimi" refleksjami, często napuszonymi i niewiele znaczącymi, jak choćby: „wzgardliwa wesołość, której banalność szczuje wszystko, co nie mieści się w jej jednoznacznych regułach". Tak więc „Pojedynek" do gruntownej przeróbki, a na razie nie skorzystamy. Jeśli idzie zaś o pracę magisterską, to doprawdy nna trud wielki porywa się Pan z niemniejszym zapałem.

W. S. w Warszawie. Z Pańskich sukcesów na „rynku literackim" również się cieszymy. Znać, że gust mieliśmy dobry. Publikować zamierzamy. W sumie — jest Pan autorem, z którym współpracuje się nam bardzo dobrze. I do tego jeszcze „Kamenę" Pan propaguje!

H. K. w Kraśniku Lubelskim. Czytamy w liście: „pragnę zaznaczyć, że nie interesuje mnie dzisiejsza poezja, która jest rzeczywiście trudna. Wzorami mojej twórczości są poeci realizmu i naturalizmu". To źle, to bardzo źle — wzorce bowiem przebrzmiałe. Jeśli jednak już ktoś nimi się kieruje, to powinien wiedzieć, że pisarze z tamtych epok honorowali znaki interpunkcji. Nadal też zalecamy orientację we współczesnej poezji. Bez tego ani rusz.